ŚWIATOWID

24 SIERPNIA 1935 R.
NUMER ZAWIERA
24 STRON DRUKU
CENA 60 GR.
W CZECHOSŁO-
WACJI Kc. 2·20.

nr. 34



»NA OSTRZU MIECZA«

Wobec zerwania »Konferencji trzech« wojna włosko-abisyńska jest już k[illegible] najbliższych tygodni. Narazie obie [illegible] patrują się w sprzęt w[illegible] przynoszący rozkaz [illegible] leżącej w niedostępn[illegible]

MIN. BECK W FINLANDJI



Minister Beck składa wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza w Helsinkach.



Minister Beck i prezes Yacht-Clubu „Helsinki", bar. Ramsay.

W tych dniach bawił w Finlandji minister spraw zagranicznych p. Beck z małżonką, dyrektorem Łubieńskim i sekretarzem Frydrychem, przybywszy do Helsink na pokładzie okrętu „Cieszyn". Przyjęcie min. Becka w Finlandji było bardzo serdeczne. Na cześć polskiego gościa wydał min. Hackzell obiad, w którym wzięło udział ponad 60 osób z kół politycznych fińskich, oraz korpusu dyplomatycznego. Podczas obiadu min. Hackzell wygłosił dłuższe przemówienie, w którym podkreślił, że Polskę i Finlandję łączą od dawna węzły szczerej przyjaźni.

Min. Beck udzielił przedstawicielom prasy fińskiej wywiadu, poczem był przyjęty na audjencji przez prezydenta Republiki fińskiej Swinhufwuda, któremu wręczył order Białego Orła, oraz przekazał serdeczne pozdrowienie od Pana Prezydenta Mościckiego.

Dro[illegible]tną odbył min. Beck także morzem i wylądował

KOLARSKIE MISTRZOSTWA ŚWIATA.



W Brukseli odbyły się zawody o kolarskie mistrzostwa świata, do których stanęła rekordowa ilość zawodników. Tytuł mistrza świata amatorów zdobył Merkens (Niemcy), wśród zawodowców zwyciężył po raz czwarty zrzędu Scherens. Zdjęcie nasze przedstawia końcową walkę pomiędzy Merkensem a Holendrem Vlietem, którego mistrz Niemiec zwyciężył tylko o długość koła.

ORYGINALNE PROSZKI „MIGRENO-NERVOSIN" R.M.S.W. № 1599
ZN. FABR. Z KOGUTKIEM
SĄ ŚRODKIEM KOJĄCYM BÓLE
ZASTOSOWANIE:
BÓLE GŁOWY
MIGRENA, NEWRALGJA
BÓLE ZĘBÓW
GRYPA, PRZEZIĘBIENIA, BÓLE: ARTRETYCZNE, STAWOWE, KOSTNE I T.P.
ŻĄDAJCIE ORYGINALNYCH PROSZKÓW ZE ZN. FABR. KOGUTEK SPRZEDAJĄ APTEKI

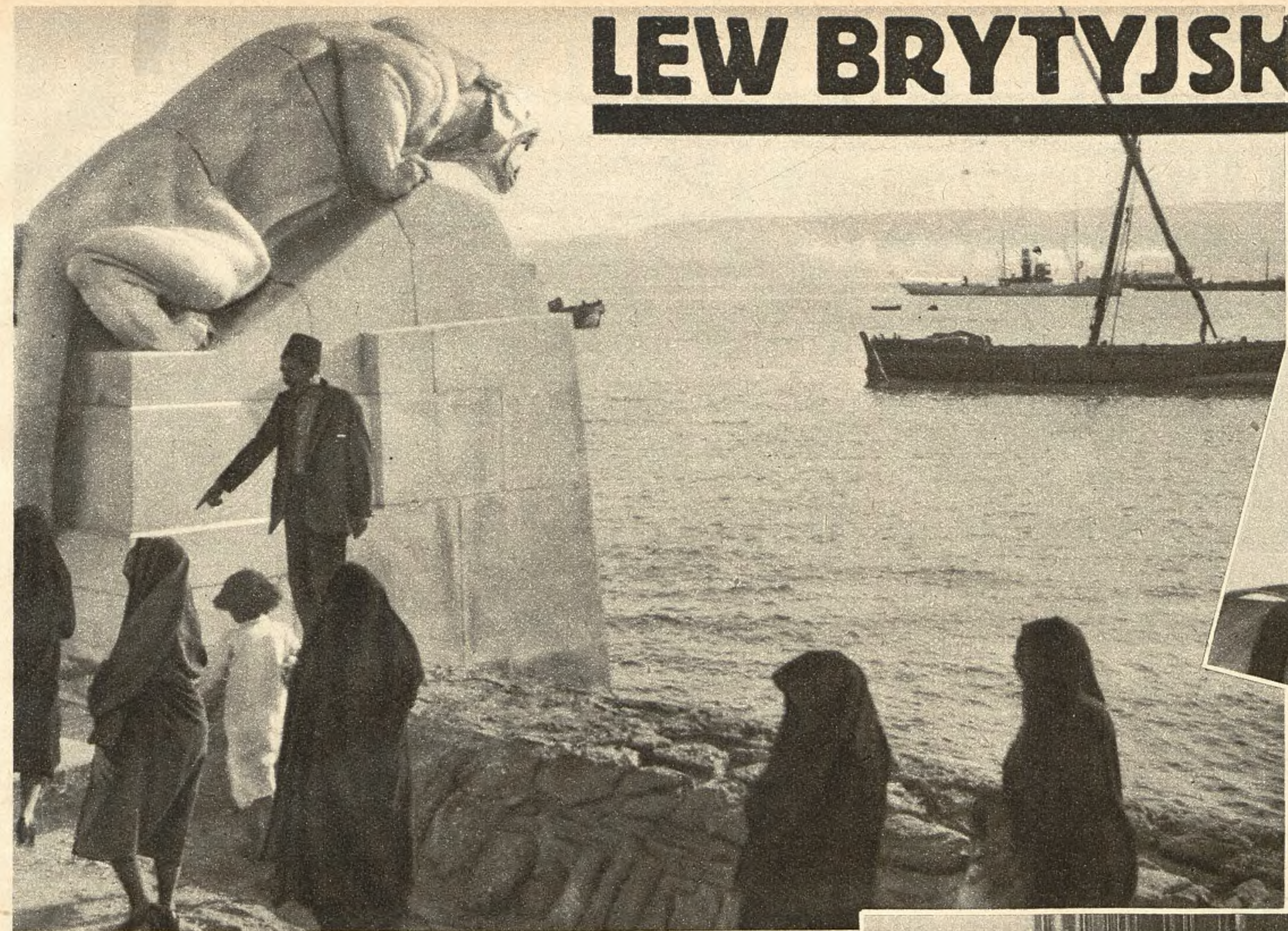
POGRZEB śp. płk. GŁOGOWSKIEGO



Towarzysze broni niosą do grobu trumnę ze zwłokami ś. p. płk. Głogowskiego na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

We Lwowie odbył się pogrzeb przedwcześnie zmarłego ś. p. płk. Jana Głogowskiego, szefa kancelarji wojskowej Pana Prezydenta R. P. Na pogrzeb przybył do Lwowa szwadron 1 p. szwoleżerów, którego Zmarły był przez długi czas dowódcą. Ś. p. płk. Głogowski spoczął na cmentarzu Łyczakowskim. Cześć Jego Pamięci!

LEW BRYTYJSKI RYCZY.



Południowy wylot kanału Sueskiego. Na pierwszym planie lew brytyjski trzymający straż nad kanałem. Fot. „The New York Times", Berlin.



Szef sztabu armji włoskiej, marszałek Badoglio.
Fot. Photoreportage Trampus, Berlin.

U południowego wylotu kanału Sueskiego znajduje się symboliczna figura lwa brytyjskiego, szczerzącego groźnie zęby i czającego się do skoku. Figura ta nie była nigdy aktualniejsza, jak dzisiaj, gdy Włochy usiłują usadowić się w Abisynji a przez to narazić na szwank interesy Imperjum Angielskiego. Okupacja bowiem Abisynji oznacza zagrożenie drogi do Indyj, utratę źródeł Niebieskiego Nilu i zachwianie równowagi kolonjalnej w Afryce, a przedewszystkiem ukazanie się na czarnym lądzie nowego, groźnego konkurenta w czarnej koszuli, który głosi „urbi et orbi", że należy mu się także jakieś miejsce na świecie...

Choć więc zaczęło się od konfliktu włosko-abisyńskiego, to nie trudno przewidzieć, że skończy się na zatargu włosko-angielskim i że Anglicy jawnie, czy skrycie staną po stronie Negusa i zgodnie ze swoimi tradycjami będą walczyć... aż do ostatniej kropli krwi Abisyńczyków, aby przez to wygrać swoje cele.

Nikt jednak w Anglji nie chce wojny i dlatego Foreign Office czyni wszystko, aby konflikt afrykański rozwikłać pokojowo. Sprawą tą dwukrotnie już zajmowała się Liga Narodów, a ostatnio zostala zwołana do Paryża „konferencja trzech, t. j. Anglji, Francji i Włoch, na której miały zapaść ostateczne decyzje co do losów Abisynji. Propozycje angielskie zmierzają w tym kierunku, aby Włochom dać w Abisynji koncesje gospodarcze, wzgl. mandat Ligi Narodów. Włosi zerwali jednak konferencję, oświadczając za pośrednictwem prasy, że na takie propozycje nigdy nie zgodzą się i że nie na to mobilizują setki tysięcy żołnierzy i wydają 20 miljonów lirów dziennie, aby ustąpić i przypatrywać się spokojnie, jak Anglja wykrawuje najlepsze kąski (jezioro Tana) z pieczeni abisyńskiej.



Min. Laval i Eden udzielają dziennikarzom informacyj o przebiegu „konferencji trzech", to jest Francji, Anglji i Włoch w sprawie Abisynji, która odbyła się w Paryżu i zakończyła się fiaskiem.
Fot. Scherl, Berlin.



Demonstracje antywłoskie w Johannesburgu w Afryce Południowej.
Fot. The New York Times, Berlin.

A tymczasem najpóźniej za dwa tygodnie skończy się w Afryce pora deszczów, czyli zacznie czas, w którym operacje wojenne staną się możliwe. Bardzo prawdopodobne, że w Afryce padną wtedy pierwsze strzały. Będą one oznaczać walkę na śmierć i życie pomiędzy rasą czarną i białą, a równocześnie pomiędzy „butem" włoskim a kłami brytyjskiego lwa, który nie lubi, aby mu deptano po ogonie, zwłaszcza nad kanałem sueskim. **J. L.**



Odjazd wojsk włoskich do Afryki. Fot. Scherl, Berlin.

Kwiaty sprawiają radość



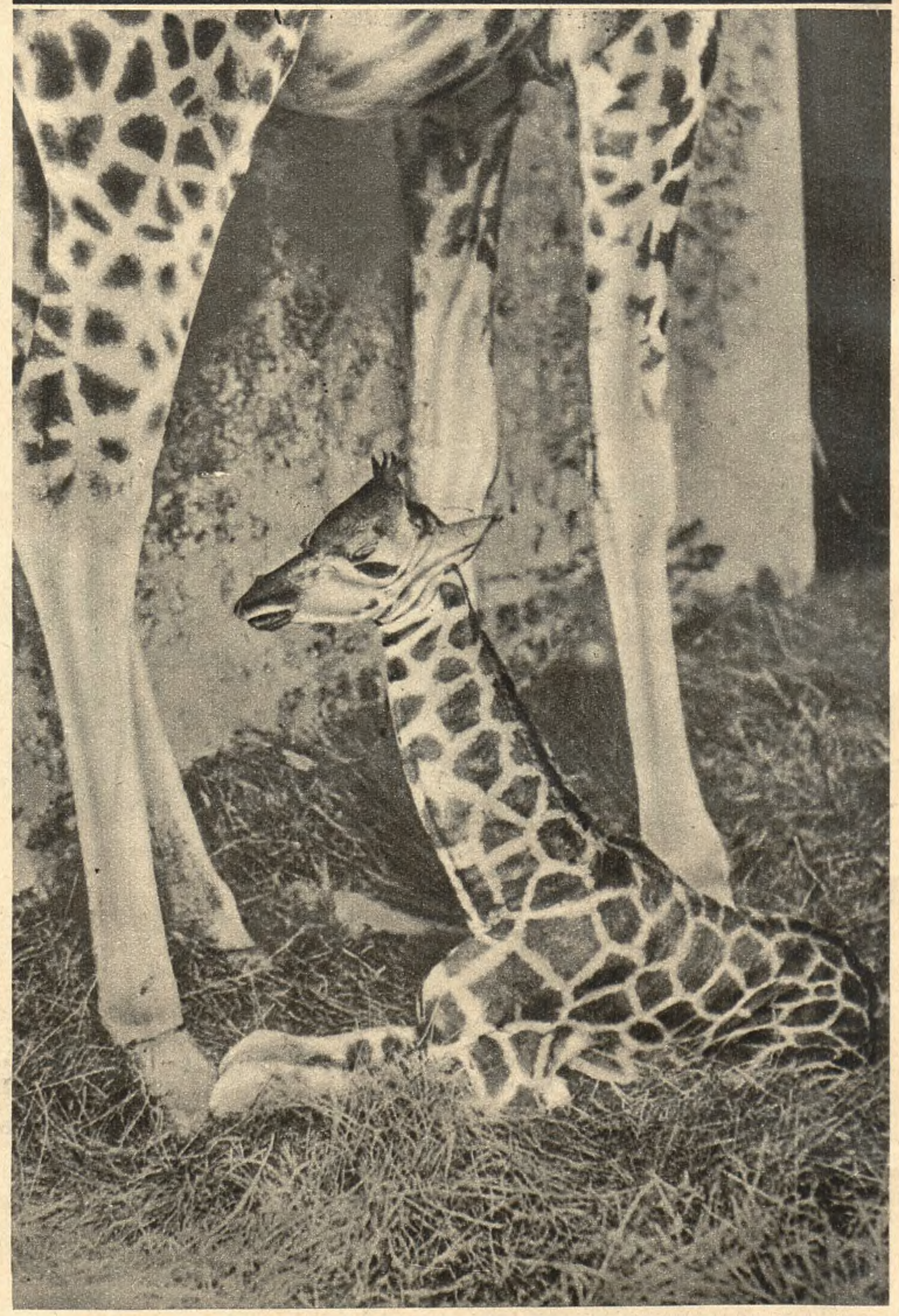
ale radość z pożytkiem zapewnia w podróży
PULSA
WODA KWIATOWA
TRWAŁE
SUBTELNE
ZAPACHY

TAJEMNICZY POŻAR W BERLINIE.



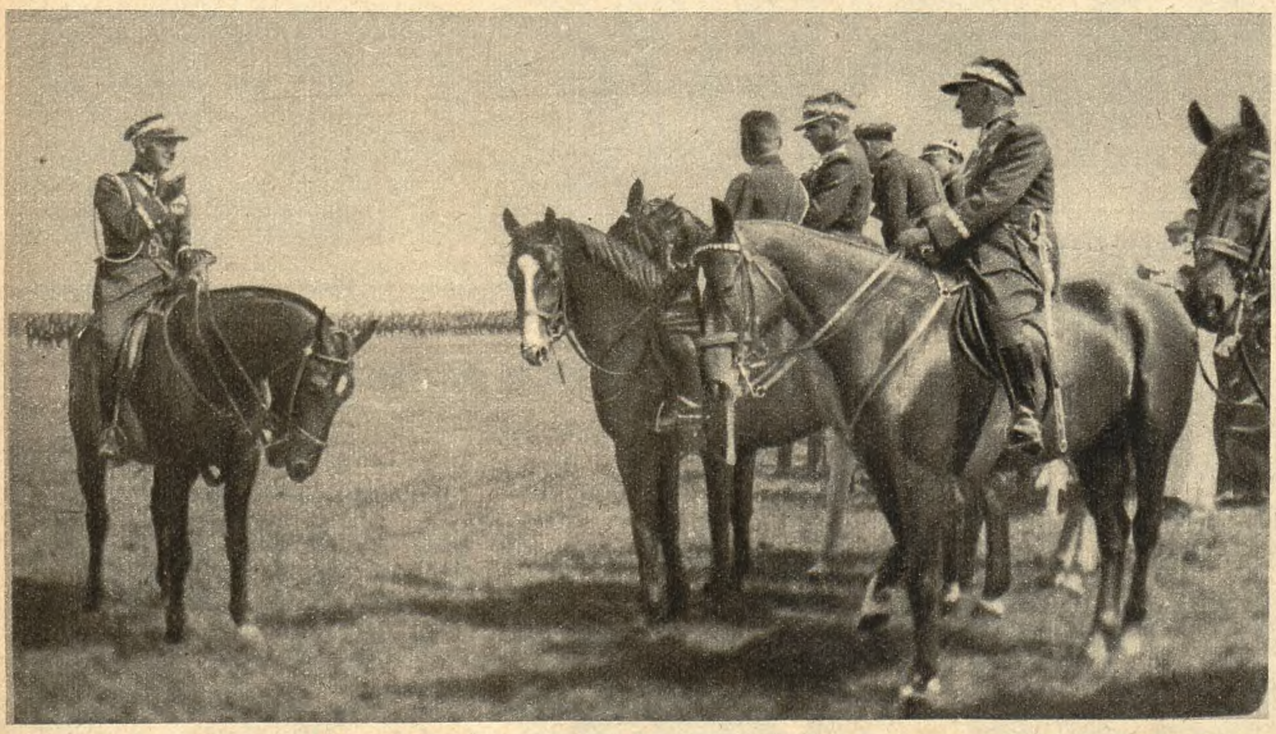
Na świeżo otwartej wystawie radjowej w Berlinie wybuchł pożar, który wyrządził ogromne szkody. Straży pożarnej tylko z wielkim trudem udało się zlokalizować pożar. Zachodzi przypuszczenie, że ogień został podłożony przez sabotażystów. Na zdjęciu płonący pawilon restauracyjny na wystawie radjowej. *Scherl, Berlin.*

LONDYŃSKA ŻYRAFA.



Żyrafy są ogromnie trudne do zaaklimatyzowania i w niewoli nie rodzą potomstwa. To też miłośnicy londyńskiego ogrodu zoologicznego z niesłychaną radością powitali fakt powiększenia się tamtejszej rodzinki żyraf o nową latorośl, która chowa się zdrowo i jest chlubą dyrekcji ogrodu. Nadmienić należy, że żyrafy należą do najdroższych zwierząt, a ceny ich są czterokrotnie wyższe od tych, jakie się płaci za lwa lub tygrysa. Ciekawem jest także, że żyrafy nie wydają nigdy głosu i są w całem tego słowa znaczeniu zwierzętami niememi. *Keystone, Berlin.*

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA W LIDZIE



Dnia 15 bm. odbył się w Lidzie na lotnisku 5 p. lotn. obchód „Święta Żołnierza Polskiego", na który przybyli generalny inspektor sił zbrojnych gen. Rydz-Śmigły i generałowie Godziejewski, Piskor i Trojanowski. Kulminacyjnym punktem uroczystości była rewja kawalerji brygady baranowickiej. Na zdjęciu gen. Rydz-Śmigły w towarzystwie generalicji na lotnisku w Lidzie.

UCZONY ANGIELSKI W KRAKOWIE.



Bawił w Krakowie w celach turystycznych wybitny uczony angielski prof. Joseph Needham z Cambridge. Dr Needham jest twórcą nowej dziedziny biologji, a mianowicie chemji embriologicznej i autorem wielu podstawowych dzieł z dziedziny biologji. Na zdjęciu prof. Needham (po prawej) w towarzystwie dra Nowińskiego z Cambridge na dachu Pałacu Prasy w Krakowie.

START POSTA DO LOTU W ZAŚWIATY.



Willey Post i Will Rogers (po lewej) na chwilę przed startem do tragicznego lotu do bieguna północnego.
Keystone, Berlin.



Przed trzema tygodniami obiegła świat sensacyjna wiadomość, że dwaj słynni lotnicy Indjanin Willey Post (Stany Zjednoczone Ameryki północnej) i Lewoniewski (Związek Republik Radzieckich) zamierzają prawie równocześnie wystartować do bieguna Północnego i odbyć podróż samolotem ze Stanów Zjednoczonych do Syberji, względnie w odwrotnym kierunku.

Przygotowania do tych lotów, wymagających doskonałych aparatów, czyniono z jak największą starannością, niestety jednak nie dały one spodziewanego rezultatu, gdyż w decydującym momencie oba motory zawiodły.

Lewoniewski przebył zaledwie jedną dziesiątą część zamierzonej trasy i musiał zawrócić, gdyż motor zużywał za duże ilości oliwy. Jeszcze tragicznej zakończył się lot Willeya Posta. Wystartował on spod Waszyngtonu w stronę Alaski, mając za towarzysza znanego humorystę Will Rogersa. W pobliżu Fairbanks Post zauważył, że motor pracuje nieregularnie, wobec czego wylądował w Point Barrow, obok osady eskimoskiej. Po prowizorycznem naprawieniu defektu Post czekał kilka godzin, aż rozejdą się mgły, które gęstym całunem spowiły cały horyzont. Każdy inny byłby na miejscu Posta zrezygnował z dalszego lotu, ale dzielny Indjanin mimo ostrzeżeń Eskimosów, którzy przepowiadali burzę śnieżną, wzniósł się w przestworza. Zaledwie jednak aparat znalazł się na wysokości 80 m, nagle runął jak kamień na ziemię i rozbił się w drzazgi. Ciała zarówno Posta jak i Rogersa zostały zupełnie zmasakrowane.

Katastrofę samolotu Posta przyjęły Stany Zjednoczone z żalem i niesłychanem przygnębieniem. Padł bowiem na posterunku as asów, lotnik, który śmigłem swoim po dwakroć opasał kulę ziemską i pierwszy na samolocie wzniósł się do stratosfery.

W żyłach Willey Posta płynęła indjańska krew. I ta okoliczność potęgowała jego popularność w Ameryce, która do czerwonoskórych odnosi się z wielkim sentymentem. Post zaś dzielnie reprezentował swą rasę „czarnych panter", „drapieżnych orłów" i „krwawych sępów" krążąc, jak orzeł nad kontynentami i oceanami i pieczętując śmiercią swój niedługi, ale sławny żywot. — Nazwisko jego zostanie zapisane w złotej księdze ludzkości.



Aparat Posta opuszcza Seettle, kierując się w stronę Alaski. *Keystone Berlin*



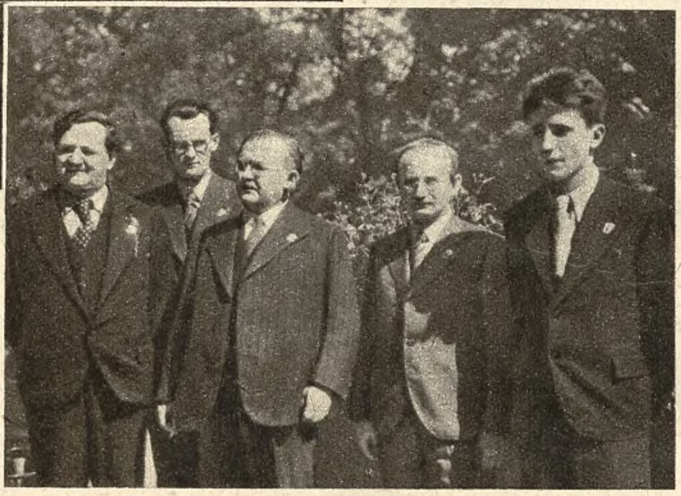
Olimpjada szachowa w Warszawie.



Dnia 16 bm. nastąpiło w Warszawie w salach Kasyna Garnizonowego otwarcie Olimpjady szachowej 1935 o puhar Hamilton-Russela. Na zdjęciu drużyna angielska (po prawej): Atkins, O'Death, Sir Thomas i węgierska: Szabo, Havasi, Steiner.



Drużyna francuska — po lewej — (Alechin, Kahn, Muffang, Raizman) w rozgrywce z drużyną litewską.



Drużyna jugosłowiańska z Vidmarem na czele.



Mistrz Stanów Zjednoczonych Marshall (u góry), mistrz świata Alechin (pośrodku) i mistrz Czechosłowacji Flohr.



Drużyna czechosłowacka z mistrzem Flohrem na czele.

Wszystkie zdjęcia: Agencja „ŚWIATOWID", Warszawa.

Żona moja jest bardzo spokojną, zrównoważoną osobą. Dwie rzeczy tylko są w stanie wyprowadzić ją z równowagi: jak sama gra w bridge'a i jak ja gram w szachy. W bridge'u to uosobienie łagodności zmienia się w jadowitego bazyliszka, który syczy, parska i łyska piorunami oczu, oświadcza, że dalej grać nie będzie, wstaje od stołu, wraca — jakgdyby nigdy nic — z uśmiechem, i za parę chwil znowu syczy itd. W grze tej hołduje ona kompromisowej zasadzie dobrej karty u partnera w połączeniu z własnym bujnym polotem. Dlatego nie znosi nerwowo, gdy sprowadzam sobie do domu partnera na szachy: nie może znieść, iż dwie osoby siedzą cicho przez parę godzin, patrzą się osłupiałym wzrokiem na stolik, jak wół na aptekę, wymagają bezwzględnej ciszy od otoczenia i nie dają się w żaden sposób odciągnąć do kolacji. Według niej szachy — to „gra dla głuchoniemych paralityków wyznania mojżeszowego", której tło psychologiczne polega na parogodzinnem myśleniu: „A coby było, gdyby...?"

Zainteresowanie, jakie okazywałem zbliżającą się olimpjadą szachową, wywoływało u niej ironiczne wzruszenie ramionami i definicję: „Międzynarodowy zjazd warjatów". Dopiero codzienne artykuły w pismach i fotografje zastanowiły ją nieco, a ponieważ zacząłem znikać z domu codziennie na szereg godzin, zdecydowała się towarzyszyć mi do Kasyna Garnizonowego, gdzie się rozgrywał bój o prymat w „grze królewskiej". Psychoza ciszy, jaka zapanowała w gmachu kasyna, począwszy już od schodów, udekorowany wielkiemi flagami dwudziestu narodowości gmach, oraz tłumy subordynowanych widzów, wśród których zauważyła szereg wybitnych osobistości, zrobiły na niej wrażenie. Nagły zwrot psychiczny (kobiety!!) włączył ją do ogólnego nastroju i zaczęła się energicznie przepychać przez tłum, otaczający środek sali balowej kasyna.

Pośrodku sali, w zagrodzeniu, otoczonem sznurami, przy dziesięciu podłużnych stołach siedziało osiemdziesięciu graczy, począwszy od siwowłosych starców, a skończywszy na młodych golowąsach. Twarze skupione, jedne blade, drugie czerwone i spocone, z widmem klęski w oczach, papierosy w ustach, ręce pod brodą, albo głowa w rękach: cicha rzeźnia. Otaczający tłum skupia się przy ciekawszych partjach. Koło mistrza świata Alechina — tłok niebywały. Entuzjaści powchodzili na krzesła, po dwie, trzy osoby na jednem i chłoną każdy ruch eleganckiego, starszego gentlemana. Drugie takie same skupienie przy stole, gdzie gra drużyna polska. Szereg widzów notuje partje na karnetach. Mija godzina — dwie — i nagle dwaj panowie wstają. Padło tylko jedno słowo: „poddaję się" — i la comedia e finita. Bo efektywnego mata tutaj nie spotkamy. Dobry gracz wie, kiedy partja jego jest beznadziejna, i pasuje.

W tłoku zgubiłem gdzieś żonę. Znalazłem ją w objęciach jakiegoś młodzieńca, na krześle przy stole Alechina. Trzymali się razem kurczowo, aby nie upaść. Właśnie, gdy się do niej zbliżałem, żona moja, z wypiekami na twarzy, gryzła palce, jakgdyby chciała za Alechina zrobić jakiś ruch. Alechin zrobił posunięcie — i w tym momencie żona moja wrzasnęła na całą salę: „Wieżą trzeba było!" Bo trzeba wiedzieć, że kibicując mi w domu, moja pani wcale dobrze zaczęła się orjentować się w szachach. Alechin podskoczył, zrobił się skandal.

Wyrzucono nas z kasyna.

Old Goj.

Górale nad morzem.



Zadowolona z podróży para huculska.



Po ataku choroby morskiej.



Górale z zachwytem spoglądają na morze i na okręt majaczący na horyzoncie.



Oficer marynarki i góral.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. Dr. ALEKSANDROWICZ



Góralki na pokładzie okrętu w rozmowie z marynarzami.



Mają się ku sobie...



Po raz pierwszy w życiu na statku.

Po „Święcie Gór" zgórą tysiąc Hucułów, Bojków, Łemków, górali i Ślązaków odbyło wycieczkę z Zakopanego do Krakowa, Warszawy i Gdyni.

Ukazanie się górali na ulicach Krakowa zostało przyjęte z entuzjazmem przez publiczność, darzącą zawsze niekłamaną sympatją śmigłych synów gór. Byli oni na Wawelu, złożyli hołd prochom Marszałka i podziwiali Kraków z dachu Pałacu Prasy. Potem kolej zawiozła ich do Warszawy.

Stolica oszołomiła ich, a wielkomiejski ruch na Marszałkowskiej i Nowym Świecie wydał im się piekłem, szczególnie w wieczornych godzinach. Górale pokłonili się przed Belwederem i wkroczyli na zamek królewski. Przedziwny był to i niezapomniany widok: we wspaniałych salach zamkowych białe cuchy góralskie...

Na pl. Marszałka Piłsudskiego górale przedefilowali przed grobem „Nieznanego Żołnierza". Ostatnim etapem wycieczki była Gdynia: „Polski cud". Goszczono ich tam serdecznie, przewieziono okrętem i pokazano okna Polski na świat. Syci wrażeń i zadowoleni wrócili synowie gór do swoich siedzib. Będą mieli długo co opowiadać.

Morze bowiem wywarło na nich wrażenie niezatarte. Nieliczni, którzy mieli sposobność widzieć Gdynię przed 8 czy 10 laty, wierzyć nie chcieli, że w ciągu tak krótkiego czasu mogło się na piaskach nadmorskich rozróść tak potężne miasto, rozbudowane nad najbardziej nowoczesnym portem w Europie.

Szybko też marynarze i górale zawarli ze sobą przyjaźń. I jedni i drudzy bowiem mają wspólne cechy psychiczne, kochają szerokie horyzonty i „ślebodę", jaką oddechać można na szczytach górskich i na bezmiarach oceanów.

Dla obcych marynarzy ze statków handlowych, które właśnie stały na redzie w Gdyni, inwazja „górskich ludzi" była nielada sensacją. Oglądali też górali, jak rarogów i fotografowali ich niezliczoną ilość razy.

Wielkie powodzenie mieli także Huculi.



Defilada górali przed pomnikiem „Nieznanego Żołnierza" w Warszawie.



Górale na zamku królewskim w Warszawie.



Zniszczenie na plantach w pobliżu kościoła OO. Dominikanów.



Zwalone trybuny na boisku „Wisły" w Krakowie.





Zwalone domy wiejskie w Kobierzynie pod Krakowem.



Wyrwane z korzeniami drzewo w pobliżu Barbakanu.



Powalone drzewa w parku dra Jordan



Uszkodzony dach w klasztorze SS. Nor tanek na Zwierzy

HURAGAN NAD KRAKOWEM

Dzień 14 sierpnia b. r. upamiętnił się w historji Krakowa żywiołową katastrofą. Mianowicie o godzinie 21.45 wpadł w samo centrum miasta niezwykłej mocy huragan, który o cztery godziny wcześniej wyrządził ogromne spustoszenie w stolicy Węgier.

Po dniu niezwykle parnym wieczorem zaczęło się chmurzyć, a wreszcie tuż przed godziną 10-tą lunął deszcz, przypominający oberwanie chmury. W kilka chwil potem ulicami płynęły całe rzeki wezbranych wód. Ludzie pouciekali do bram, a ruch tramwajowy został wstrzymany, ponieważ gęsto bijące pioruny uszkodziły przewody elektryczne.

Zgasło także miejscami światło.

Równocześnie od południa nadciągnęła trąba powietrzna. W ciągu 7 minut około 600 drzew na plantach i w ogrodach miejskich zostało wyrwanych z korzeniami. Straszliwa wichura obalała nietylko małe drzewka, ale stuletnie olbrzymy, łamiąc je jak zapałki.

Niszczący żywioł nie oszczędził również drogich sercu każdego Polaka zabytków artystycznych Krakowa. I tak w kościele św. Katarzyny uderzenie huraganu wyłamało kamienne gotyckie obramienie okien w starym średniowiecznym krużganku, zdobnym w wartościowe freski. W kościółku św. Małgorzaty huragan wgniótł kopułę, a w kościele Norbertanek na Zwierzyńcu wyparł szczytową ścianę, czyniąc wyrwę jak od wybuchu granatu.

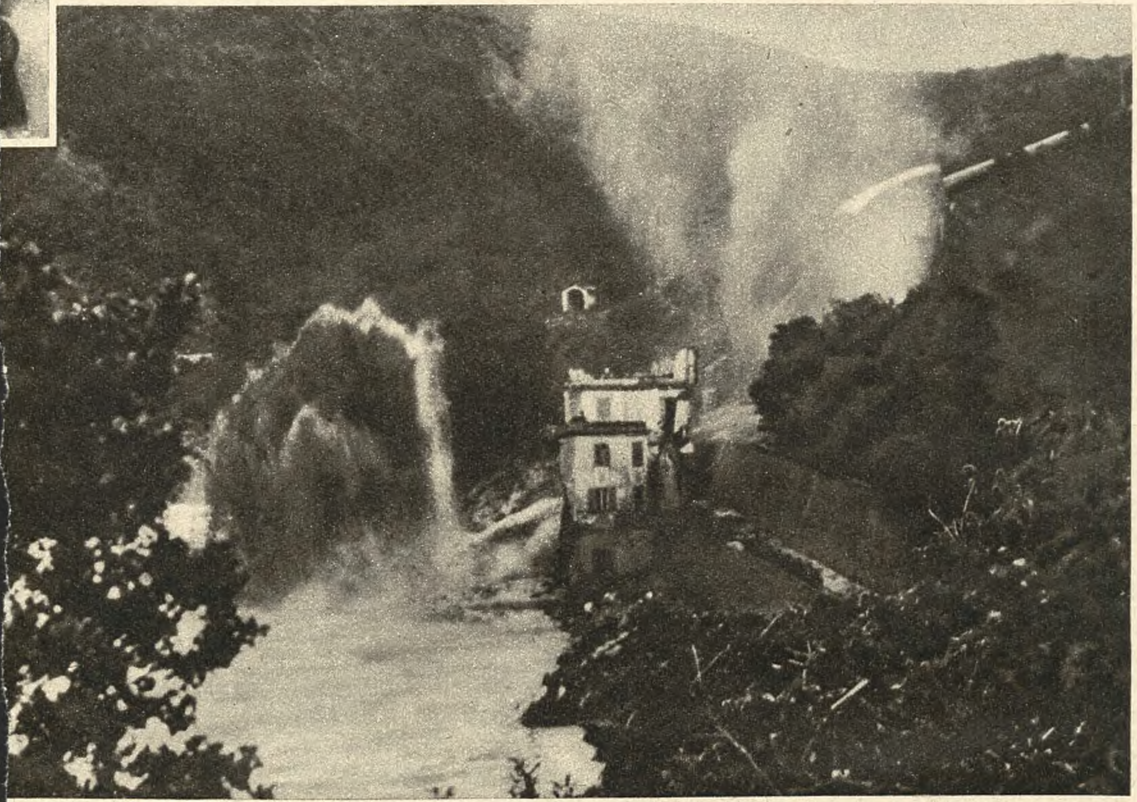
Nietylko zabytki, nietylko plantacje, lecz również sportowe boiska Krakowa doznały strasznych uszkodzeń, unieruchomiających na dłuższy czas sportowe życie młodzieży. Senjor sportowych urządzeń w Polsce, park im. Jordana uległ wandalskiemu zniszczeniu. Najgwałtowniej szalał orkan w alejach tuj, gdzie ustawione są hermy bohaterów Polski. Probierzem potęgi wichury to wyrwany z korzeniami stary dąb i piękna srebrna topola. Minęło już kilka dni, a wśród cmentarzyska drzew chodzą i opłakują niepowetowaną stratę mieszkańcy Krakowa, którzy teraz wykazują swoją miłość dla drzew, świadków ich miłości, ich cierpień i młodości.

Zarząd plantacyj miejskich w dążeniach swych do przywrócenia plantom pierwotnego wyglądu nie będzie osamotniony. Za sobą ma serce obywateli Krakowa.



KATASTROFA POWODZI WE WŁOSZECH.

Wskutek ulewnych deszczów i nagłego przyboru wód runęła tama pod Ovado i olbrzymie masy wody zwaliły się w dolinę, niszcząc po drodze wsie i miasteczka. Zgórą 500 ludzi znalazło śmierć w falach tego potoku. W Ovado 130 domów zostało całkowicie zburzonych. W Capriecie i Molare nie pozostał kamień na kamieniu. Szkody wyrządzone przez powódź wynoszą według dotychczasowych obliczeń około 25 miljonów lirów. Wszystkie miejscowości położone w dolinie rzek Dura, Orba i Lemme znajdują się pod wodą. Zniszczeniu uległa także elektrownia, znajdująca się poniżej zapory. — Katastrofa ta to jeszcze jeden dowód, jak trzeba być ostrożnym przy budowie zbiorników retencyjnych, których nie wolno stawiać bez wyczerpującej ekspertyzy geologicznej, w przeciwnym bowiem razie zbiornik taki to wieczne niebezpieczeństwo i śmierć, czyhająca dla ludności mieszkającej w okolicy.



Wezbrane wody przerywają tamę pod Ovado na jeziorze Orbicella we Włoszech.

Fot. Scherl, Berlin.

ZWYCIĘSTWO WIOŚLARZY POLSKICH.



Na jeziorze Grünau pod Berlinem odbyły się wioślarskie mistrzostwa Europy, które przyniosły największy dotychczas sukces wioślarzom polskim w postaci dwóch tytułów mistrzowskich. Członkowie AZS-u krakowskiego Verey i Ustupski zdobyli mistrzostwo Europy w biegu dwójek podwójnych, Verey zdobył pozatem drugi tytuł w biegu jedynek. W ogólnej klasyfikacji narodów zajęła Polska drugie miejsce za Węgrami na 13 startujących państw. — Na zdjęciu widzimy mistrzowską dwójkę Europy Verey'a (po prawej) i Ustupskiego, niesionych na rękach przez członków polskiej ekipy po zwycięstwie.

Fot. Scherl, Berlin.

6000 KILOMETRÓW KONNO.



Z początkiem lata 28 kawalerzystów turkiestańskich wyruszyło z Achkhabad w Azji sowieckiej w podróż do Moskwy. Ich droga prowadziła przez pustynię Kara-Kum. Z początkiem sierpnia kawalerzyści przybyli nad Wołgę. Konie ich trzymają się dobrze i jest nadzieja, że dojadą do Moskwy.

Fot. International Presse Photo Service.

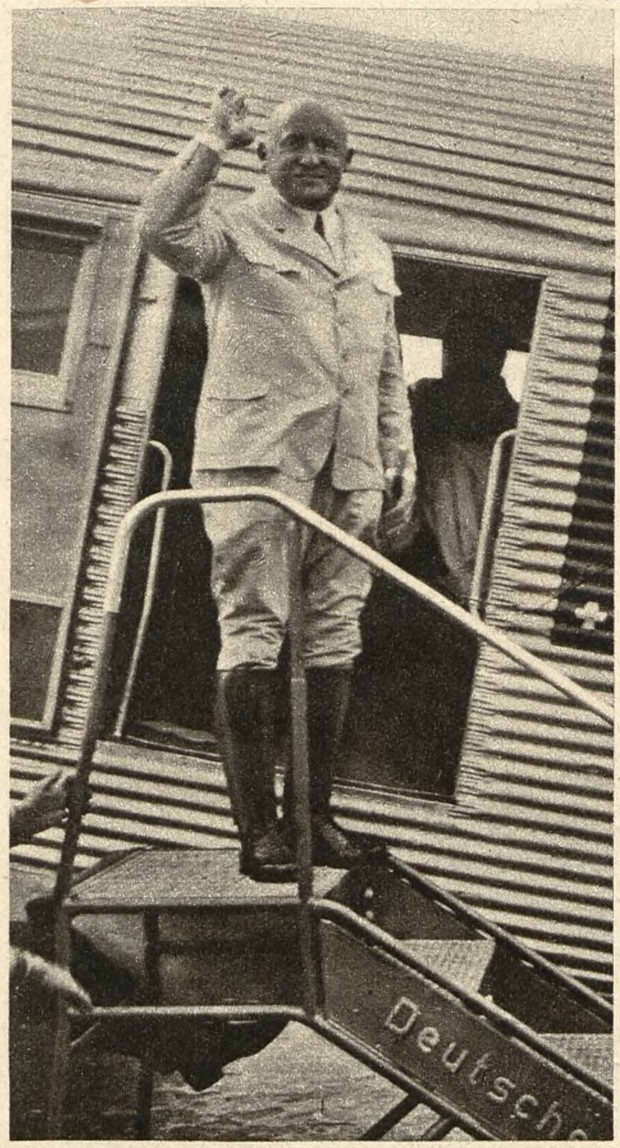
POD KOŁAMI POCIĄGU.



Dyrektor banku angielskiego Sir Basil Blackert jadąc autem w pobliżu Treis a. d. Lumde w Niemczech, wpadł pod pociąg towarowy i wskutek odniesionych ran zmarł w kilka godzin potem. Sir Blackert należał do najwybitniejszych finansistów świata i miał właśnie na zaproszenie uniwersytetu w Heidelbergu wygłosić tam odczyt o sprawach ekonomicznych. Na zdjęciu miejsce katastrofy i strzaskane auto Blackerta.

Fot. Keystone View., Berlin.

STREICHER PRZEMAWIA.



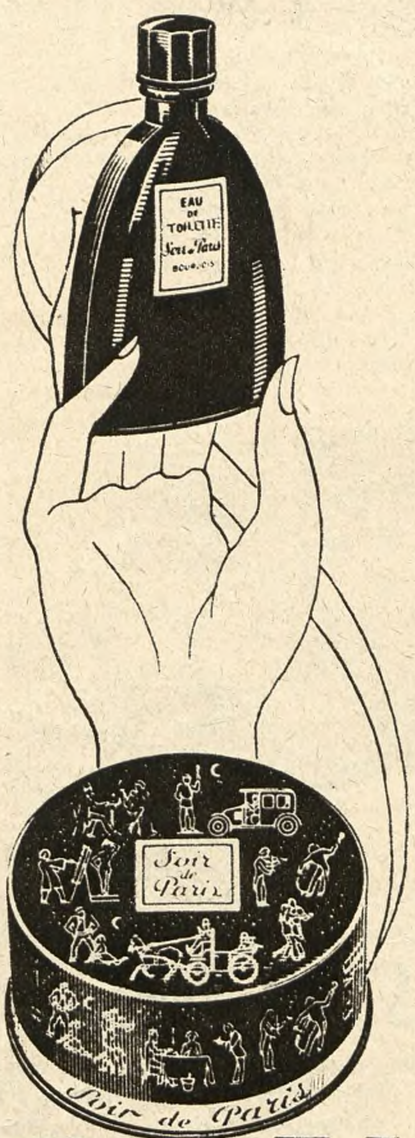
Wielką sensację dla Berlina stanowił przyjazd przywódcy hitlerowców frankońskich Streichera, uchodzącego za głowę antysemitów niemieckich. Przemawiał on w Pałacu Sportowym, a sala była wypełniona do ostatniego miejsca, gęste zaś kordony policji musiały utrzymywać porządek na pobliskich ulicach.

Streicher przedewszystkiem rozprawił się z prasą zagraniczną, która zdaniem jego nie orjentuje się w psychice dzisiejszych Niemiec. Ostro zwrócił się także przeciwko żydom. Na zdjęciu Streicher w chwilę po wylądowaniu na lotnisku w Tempelhof.

Fot. The New York Times, Berlin.

Gdynia, Katowice, Kraków, Lwów, Poznań, Wilno,
oddalone są od stolicy
660 *zaledwie*
o 2 godziny lotu!

Zaprenumeruj „Swiatowida" miesięcznie tylko złotych 2·20



Każde
Pudełko
Pudru
Soir de Paris
(WIĘKSZY MODEL)
BOURJOIS
zawiera flakonik reklamowy
Wody Tualetowej
Soir de Paris
ofiarowany bezpłatnie
przez firmę
BOURJOIS

Sprzedaż reklamowa we wszystkich pierwszorzędnych perfumerjach i składach aptecznych do końca sierpnia r. b.

658

BOURJOIS
Créateur des Fards Pastels



„Chin Hua" na rogu bizona (żubra), obok róg nosorożca, na lewo czaszka z rogami bydła współczesnego, z zaznaczonym kreskami odcinkiem, analogicznym do rogu żubra, dla porównania.



Laureat dwu srebrnych medali, wabi się „Sing Thir of Cathay".

»PAŁAC MAMUTÓW« POD STRAŻĄ PEKIŃCZYKÓW.



Laureatka złotego medalu i pierwszej nagrody, „Chin Wutip of Cathay".

Mamy w naszym kraju zabytki i różne „curiosité", które zasługują na baczniejszą uwagę, a niestety mało są znane szerszemu ogółowi turystów. Należą do nich Rudki, leżące w niedalekiej odległości od Lwowa, na które zwraca swą uwagę nauka, zajmująca się dobywaniem szczątków mieszkańców ziemi z przed tysięcy lat.

Tam to właśnie, w Rudkach, dobywa znany w kołach geologicznych p. Z. z głębokich warstw przyrzecznych interesujące i niezwykle cenne dla nauki znaleziska z wtórnych złóż ziemi, fragmenty różnych typów mamutów od olbrzymich (elephas antiquus) do skarlałych młodszych okazów fauny przedpotopowej. — Dom p. Z. zamienia się systematycznie w muzeum geologiczne, posiadające już dziś niezwykle cenne szczątki pradawnych nosorożców, jeleni, lwów jaskiniowych, bizonów, lisów polarnych itd., itd.

Niestety polska nauka nie ma narazie środków na te ważne poszukiwania i pracuje tu nad niemi jedynie prof. dr. Polański wespół z p. Zbrożkiem.

Gdy kogoś zapędzą losy w okolice Wielkiego Lubienia, Komarna i sąsiednich, niechże zobaczy w Rudkach zbiory i inne niezwykłości, godne naprawdę baczniejszej uwagi nietylko specjalisty.

Tą drugą niezwykłością jest prowadzona przez panią domu p. Marję Zbrożkową, hodowla arystokratycznej rasy psiej, t. zw. „pałacowych pekińczyków". Liczna dziś czereda tej najwyższej arystokracji psiej wywodzi się z kilku klanów rodowych aż z Anglji, jak „of Cathay", „of White Cottage", „of Tsing", „of Asthon More" etc. Rasa ta liczy sobie podobno 4.000 lat istnienia i pieski rudeckie są wielokrotnymi laureatami wystaw i różnych występów publicznych.

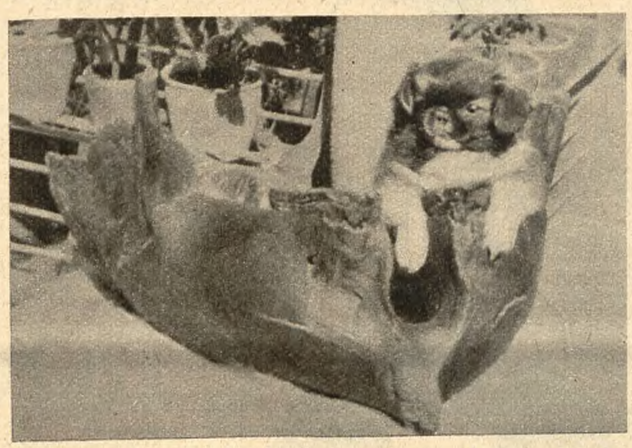
W poemacie cesarzowej Tsze-Ksi opiewane są te arystokratyczne pieski, które na dworze pekińskim były przedmiotem specjalnej troski. Hodowla ich wymagała przedewszystkiem, aby pieski miały jak najbardziej płaskie noski, co według kanonów chińskiej urody psiej jest szczytem piękna. Oprócz tego „okulary" świadczą o ich mądrości, grzywy o „lwiej odwadze", krzywe łapki o przywiązaniu do pani itd. Pieski te uwieczniła rzeźba chińska już w roku około 965 przed Chrystusem. A wiadomo, że jeszcze przed wynalezieniem szkła, robiono posążki psich faworytów pałacu cesarzy.

W Europie, a ściślej mówiąc w Anglji, spopularyzowała tę rasę królowa angielska Aleksandra, żona Edwarda VII, która nie rozstając się z pekińskim pieskiem, wielokrotnie dała się z nim portretować. Obecnie pekińczyki coraz częściej widzi się u nas, a hodowcy w Anglji i Szwajcarji, wzamian za przesyłane do Polski pekińskie faworyty dworskie, zaszczepiają tam, na gruncie zagranicznym, naszą rasę owczarków podhalańskich, które również w Rudkach są hodowane.

Naprawdę niezwykły to dwór p. Zbrożków, gdzie u wejścia do ogrodu-bukietu wita cię karna sfora owczarków, wszystkie bardzo dobrze wychowane, nie dobierają się do opończy, choć bystro patrzą, czy z dobrym zamiarem przekraczasz próg gościnnego domu.

Są tam jeszcze w najbliższem jego sąsiedztwie i inni reprezentanci naszych zwierzęcych przyjaciół. Jest oswojona wilczyca, podająca przy dobrym humorze łapę, oswojone sarny, kruk, i orzeł o... manierach kanarka. Po powitaniu z nimi wkraczamy do — „pałacu", bo wypełniają go pałacowe pekińczyki, których przodkowie przebywali tylko w towarzystwie cesarzowych i cesarzy chińskich.

Ta niezwykła egzotyka, łącząca się w psich okazach pekińczyków z gigantycznemi szczękami i gnatami dawnych potworów, które musiał aż potop z powierzchni naszej planety usunąć, aby nam zrobić miejsce, tworzy z dworu p. Zbrożków niezwykły dom-muzeum, w którym gość najbardziej nawet opłatany interesami czy... obecną akcją wyborczą, odrywa się myślą i wypoczywa w niesamowitym nastroju.



Sympatyczny „Chin Jeu" na szczęce młodego (około 40-letniego) mamuta.



Nasze poczciwe owczarki podhalańskie, niezrównane jako stróże.

NAJWYŻSZYM ATUTEM URODY jest piękna, zdrowa cera

Toteż niewolno poddawać jej ryzykownym eksperymentom, stosując szumnie reklamowane preparaty z nieznanych składników.

Długoletnie uznanie, jakiem się cieszą

WYPRÓBOWANE WYROBY Laboratorjum M. MALINOWSKIEGO

661 jest najpewniejszą rękojmią ich doskonałości.

WARSZAWA, Lab. Chem. Farm. ul. Chmielna 4.

Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych firmach.

CZARNO-BIAŁA SYMFONJA.



Biała bluza z jedwabiu matelassé do czarnego kostjumu. Kapelusz, buciki, torebka z czarnej lakierowanej skóry.



Biały płaszczyk wełniany i filcowy kapelusz do czarnej taftowej sukienki o prostym kroju.



Czarny żakiecik do białego kostjumu wełnianego z pelerynką, odpowiedni na chłodniejsze dni jesieni.



Poniżej: Młodociany kostjum czarny w białe punkciki, przybrany białą piką. Obok biała sukienka z taftą faille w pasy.

Służąc wszystkim kobietom świata, myśli jednak moda przedewszystkiem o Paryżance, kiedy tworzy rozmaite hasła, w myśl których „umundurowują" się niejako bliższe jej i dalsze zwolenniczki. A że Paryżanka lubuje się szczególnie w kolorze czarnym i w jego połączeniach z białym, więc też w każdym sezonie znajdzie się miejsce na to właśnie zestawienie barw.

Trzeba przyznać bezstronnie i objektywnie, że jest to niezwykle spokojna, dystyngowana i prawdziwie piękna symfonja kolorów. Usunąwszy na bok względy praktyczności, nie zawsze tu dające się należycie zachować, uznać każdy musi duże walory artystyczne w tem, co na polu czarno-białych modeli dawała moda wiosenna, letnia i co przynosi sezon, nadchodzącej jesieni.

Weźmy tylko choćby dział kostjumów na ulicę. Ileż tu różnorodności, choć zdawałoby się, że te dwa kolory utrudniają pożądaną rozmaitość modeli. Z reprodukowanych obok zdjęć widzimy, ile typów dają połączenia czarnego z białym.

A więc do prostego angielskiego kostjumu czarnego z wełny czy płótna lub jedwabiu, biała bluza, białe manszety żakietu i białe rękawiczki. To najbardziej klasyczny typ dla wykorzystania koloru czarno-białego. Drugi analogiczny model to kostjum z lekkiej białej wełny z bluzą czarną, względnie z czarnym żakiecikiem przy białej bluzce i pelerynce z materjału spodniczki. Do tego kapelusz czarny z białym lub odwrotnie i buciki białe do jasnych pończoszek, bo czarne pończoszki do białych bucików stanowią kontrast tak nieoczekiwany, że lepiej go nie wprowadzać w użycie.

Jeżeli mamy czarną lub białą sukienkę, dobieramy do czarnej biały trzyćwierciowy żakiet i biały kapelusz i znów powstaje ładna i modna całość. Białą sukienkę ożywimy kokardą z materjału w czarne pasy lub kropki. Ten sam motyw na kapeluszu, czarny lakierowany pasek i czarne rękawiczki, to także dobra odmiana w symfonji biało-czarnej.

Pozostają jeszcze na sukienki czy kostjumy materjały w drobniutki deseń, rzucik, kwiatuszki itp. na tle czarnem lub białem. I te otwierają wiele możliwości dla umiejącej wykorzystać modę czarno-białą, eleganckiej pani. Gdy mamy do tego pantofelki i czarne i białe, dwa kapelusze, dwie torebki i podwójne rękawiczki, skala możliwości rozszerza się niepomiernie i można poprostu po wielokroć razy być inaczej ubraną, pozostawszy przytem wiernie przy kolorach czarnym i białym.

J. Z.

Marja Hessel — PIĘCIOPŁATNICA

POWIEŚĆ 3)

„Przeciwnik wasz jest tak mocny, że zgóry jestem przekonany o bezowocności pańskich najlepszych wysiłków..." — Te słowa brzmiały mu w uszach bezustannie, uparte i nieubłagane. I w zadumie spoglądał na drzwi, za któremi znikła wyniosła postać Grzebińskiego.

ROZDZIAŁ III.

Edyth serdecznie objęła dłońmi obie ręce Flory. W jej przepięknych, niewypowiedzianie czarnych oczach widać było współczucie i łzy.

— Ty się zamęczasz, Floro!

Dęborówna nie odrzekła nic.

— Tak dalej być nie może! Jesteś zupełnie wyczerpana i przemęczona. Jeszcze rozchorujesz się od tych wszystkich zmartwień...

Florentyna milczała z uporem. Edyth spoglądała niespokojnie w jej przygnębioną twarz. Postanowiła za wszelką cenę wyrwać przyjaciółkę z martwoty, w jaką wtrąciło ją ostatnie nieszczęście.

— Floro, słuchaj! Zaraz rzuć to wszystko! Pozostaw Marjannie cały ten kram i jedź ze mną. Nie możesz, absolutnie nie możesz tu zostać! Za bije cię ta apatja. W tem, co się stało, niema twojej winy i nic na to poradzić nie możesz, a niepotrzebnie tracisz zdrowie. Wyjeżdżam do Krakowa, a stamtąd Bóg wie dokąd! Jedź ze mną! Pewnie wstąpimy do Paryża — zobaczyłabyś przy tej okazji swojego Tomka. No, Floro — prosiła miękkim głosem — pojedziesz ze mną, nieprawdaż?!

Florentyna podniosła głowę. Miała łzy w oczach. Były to łzy wdzięczności i rozrzewnienia. Nagle zarzuciła ręce na szyję Edyth.

— Jakaś ty dobra!

Edyth uśmiechnęła się słodko i smutno.

— Jedziesz ze mną?

— A kiedy chcesz jechać?

— Ja? Floro, już! choćby zaraz. Zresztą im prędzej, tem lepiej dla ciebie.

— Ależ, Edyth...

— Jakie „ale"? Poco wynajdujesz sobie trudności? Tyle razy już wyjeżdżałaś, a goście twoi nie pomarli z głodu!

— Nie o to idzie. Wydaje mi się tylko, że jednak... że powinnam czas jakiś jeszcze... zostać tu...

— Właśnie nie powinnaś i nie zostaniesz! Oczywiście, Floro, że zrobisz jak zechcesz, jesteś panią swej woli; ale uwierz mi, że pragnę twego dobra. Serdecznie uciesz się, jeżeli rzucisz w kąt swoje zgryzoty i fruniesz z tego piekła w świat szeroki.

Zerwała się i już krążyła po całym pokoju, z żywością swej rasy. Była bardzo wysoka i bardzo szczupła, o skórze tak ciemnej, że robiła wrażenie posągu z bronzu. Włosy miała tak hebanowe, że czarna główka Florentyny wyglądała przy nich, jak popielata plama. Włosy te, zaczesane gładko z przedziałem przez środek głowy, spięte były z prawej strony pięknym grzebieniem, wysadzanym brylantami.

Florentyna wodziła oczyma za krzątającą się żywo Edyth i nagle, zerwawszy się, pobiegła spiesznie ku toalecie.

— Aha, Edyth, byłabym zapomniała...

Panna Ferallano zbliżyła się żywo.

— Co takiego?

— Twój grzebyk! Masz! Zgubiłaś go koło lasu! Całe szczęście, że Stanisław znalazł go.

Edyth zbladła. Czarne jej oczy rozszerzyły się niepokojem i przerażeniem. Widząc jednak, że Flora patrzy w inną stronę, opanowała się szybko.

— Dziękuję ci bardzo! Rzeczywiście, że byłam ogromnie zmartwiona. Nie miałam pojęcia, gdzie on mi się mógł podziać.

Podniosła długie, szczupłe ramiona i przepięła grzebykiem włosy z lewej strony. Przerażone przed chwilą jej oczy były teraz zamyślone i smutne.

W kilka godzin opuszczały Hotel Wielki. Służba zniosła do czekającej na dziedzińcu limuzyny walizki Flory i podręczną walizeczkę Edyth.

Grzebiński zawiadomił panie, że wszystko jest gotowe do odjazdu.

Gdy wyszły, Stanisław przywitał Edyth głębokim ukłonem. Wdzięcznie skłoniła mu swą egzotyczną głowę, posyłając równocześnie uśmiech pełen przyjaźni. Stanisław wyprzedził panie i otworzył drzwiczki limuzyny.

Edyth szła pierwsza. Postępująca w odległości kilku kroków za nią Flora zauważyła ze zdziwieniem, że oczy Grzebińskiego spoczywają z uporem na czarnych, niczem nieosłoniętych włosach Hiszpanki. Oczy te były zimne i surowe. Przeszła koło Stanisława, zadając mu nieme pytanie. Edyth tymczasem usadowiła się wygodnie w głębi wozu i czekała na Florę. Skolei ona teraz spojrzała na Stanisława i dostrzegła, że oczy jego są łagodne i miękkie, jak jedwab. I znowu na ustach jej ukazał się dziwny, tak jej właściwy, biorący za serce uśmiech, w którym była równocześnie nieśmiałość dziecka i dobroć bezgranicznie pobłażliwej matki.

* * *

Wieczorem obie przyjaciółki siedziały wśród drzew, ocieniających willę panny Ferallano.

Słońce zachodziło i schyliwszy się nisko nad ogrodem, wyglądało w objęciach bujnej zieleni jak płomienna, dojrzała pomarańcza, zawieszona na olbrzymim krzaku.

Niebo było jasno-turkusowe. Snuły się po niem chmury, miękkie i białe, jak kłęby waty. Zachód przeświecał przez nie, zabarwiając ich brzegi na różowo i złoto, że wyglądały jak aplikowane kolorową tkaniną.

Czerwonawe smugi kładły się na powierzchni stawu, różowiąc śnieżne pióra płynących po wodzie łabędzi. Ze środka stawu tryskała w górę fontanna, rozpryskując się miljardem kropel w bajecznie tęczowy pióropusz.

Flora oparła się łokciami o bambusowy stolik i objęmowała ogród swemi łagodnemi oczyma. Edyth siedziała naprzeciw niej i, zaciągając się zwolna papierosem, nie zdejmowała z niej wzroku. Uwagę jej przyciągał nieodparcie cudny, słodki profil, o chybotliwych ogromnych rzęsach i leciuchno orlim nosku. Bardzo bujne czarne włosy, same wijące się w puszyste kędziory, podnosiły jeszcze subtelność twarzy białej, jak śnieg, białej jak lilja, ledwie dostrzegalnie przyzłoconej słońcem na skroniach. Śliczne jasno-różowe usta zmysłowe, pełne, o zadartych w górę kącikach, układały się w wyraz dziecinnej pustoty, dziewczęcej zalotności i kobiecej powagi równocześnie.

Ale najpiękniejszym szczegółem twarzy Flory były oczy, wielkie, przecudne oczy, koloru granatowego ornamentu. Były to niezrównane poprostu oczy dziecka i człowieka, oczy-gwiazdy, oczy-kwiaty, szeroko rozwarte i wilgotne, jak odwieczne rosy, to wesołe i roziskrzone, to rozmarzone i pełne smutku, zaczajone cicho w czarnej gęstwinie przeolbrzymich, zagiętych w górę rzęs i ociężałych powiek.

Maleńka główka, tysiąckroć piękniejsza od wszystkich obrazów i rzeźb, wykwitała, jak kwiat na łodydze, na wysmukłej kibici. Drobna, szczupła, była skończoną harmonją kształtów i ruchów. I gdy teraz delikatny wiatr poruszał jej jasną sukienką, oblepiając nią ciało Florentyny, Edyth myślała, że tak mogłoby wyglądać najcudniejsze z bóstw, a okrzyczane arcydzieła sztuki, stworzone przez genjuszów w chwili boskiego natchnienia, są śmieszną, pozbawioną piękna i wyrazu masą, w porównaniu z tą cudną polską dziewczyną z gór.

Oprócz panny Ferallano ktoś inny jeszcze patrzył na Florę, lecz ona spojrzenia tego nie czuła. Edyth była widocznie bardziej wrażliwa, bo gdy skolei spojrzenie to spoczęło na niej, odczuła je i poruszyła się niespokojnie: w oknie na parterze stał Grzebiński. Edyth spojrzenie jego ciążyło, jak kamień i odbierało zwykłą pewność siebie.

Nagle Florentyna podniosła się i podeszła do stawu. Łabędzie natychmiast przypłynęły ku niej. Schyliła się i wyciągnęła do nich ręce. Edyth wstała również i poszła za nią. Ukradkiem spojrzała na Stanisława: nie spuszczał z oczu jasnej postaci, schylonej nad wodą.

— Floro!

Czarna główka podniosła się.

— Czego chcesz, Edyth? Chodź tu!

— Wpadniesz do wody!

— Nie! Wiesz, że te ptaszyska są przemiłe!

Łabędzie zbiły się w ciasną gromadę, wyciągając długie szyje ku dłoniom dziewczyny. Pokazywała im ze skruchą, że niestety nie ma do rozdania. Więc Edyth przyniosła jej bułkę. Rozdawała ją sprawiedliwie, pokolei, śmiejąc się i karcąc łabędzie, które łapczywie porywały kęs, należny towarzyszowi.

ROZDZIAŁ IV.

Agnes stanęła stylu za fotelem i pochyliwszy się, objęła matkę ramionami.

— Mary droga! Będziesz musiała przeprosić naszych gości, ale ja nie zejdę dziś na obiad!

Pani Balfour podniosła głowę i spojrzała na córkę zdumiona.

— Dlaczego Agnes? co ci się stało?

Dziewczyna wyprostowała się i przeciągnęła ręką po czole. Była bardzo blada.

— Nie wiem, Mary! Jestem okropnie śpiąca! Nigdy jeszcze tak mi się spać nie chciało!

Przerażona Mary zerwała się szybko i niespokojnie spojrzała w twarz córki.

— Połóż się zaraz dziecko. Mój Boże! Tak późno poszłaś wczoraj spać! Tak długo grałaś w tennis! A taki był upał, Agnes! Musisz koniecznie wypocząć. Jutro nie wstaniesz zupełnie. Zaraz chodź do swego pokoju!

Owinęła dziewczynę ramionami i prowadziła delikatnie ku drzwiom.

Nagle Agnes zachwiała się i upadła na podłogę, pociągając matkę za sobą.

— Agnes! Agnes! — krzyknęła przeraźliwie ambasadorowa i, zerwawszy się z podłogi, zadzwoniła gwałtownie na służbę.

Wpadły przerażone dziewczęta. Blada, jak trup, Mary przy ich pomocy podniosła córkę z ziemi. Zaniesiono ją szybko do sypialni i złożono na rozesłanem naprędce łóżku.

Mary drżącemi dłońmi rozbierała córkę, płacząc cicho, lecz Agnes nie czuła i nie słyszała już nic — była nieprzytomna.

* * *

— Więc panowie nie pozostawiacie mi żadnej nadziei?

— Niestety, lordzie! Czyniliśmy wszystko, co leży w ludzkiej mocy. Jesteśmy bezsilni i świadomość ta przejmuje nas niewypowiedzianą boleścią!

W gabinecie ambasadora zapanowała głucha i ciężka cisza. Balfour stał przy oknie, obrócony profilem do lekarzy i, paląc nerwowo papierosy jednego za drugim, spoglądał uparcie przed siebie.

Był to wysoki i bardzo szczupły, prawie chudy Anglik, o starannie wygolonej twarzy, długiej, niełądnej, ale niezwykle pociągającej. Siwiejące na skroniach włosy dodawały jeszcze surowości tej twarzy, która nawet teraz, gdy w głębi duszy targała nim bezbrzeżna rozpacz, nie zmieniła się prawie, była tylko blada i smutna.

Lekarze spoglądali na niego w milczeniu, frasobliwi i zmieszani, jak ludzie, którzy wiedzą, że zawiedli położoną w nich ostatnią ufność.

— Więc dla córki mojej nikt nie znajdzie ratunku? — spytał wreszcie ambasador.

Podniósł się przewodniczący consilium lekarskiego.

— Milordzie! — rzekł — w Krakowie, skąd wezwałeś mnie, została w mym domu jedyna córeczka. Gdyby na miejscu chorej lady było w tej chwili moje własne dziecko, byłbym równie bezsilny i równie rozżalony. Nie obwiniaj nas, lordzie! Zjechaliśmy się z różnych stron i Polski i świata na twoje wezwanie, czyż więc może pan przypuszczać, że pozostał jakikolwiek środek, czy sposób, któregobyśmy nie próbowali, nie wyczerpali?! Jestem dwadzieścia lat lekarzem i pierwszy raz zdarza mi się wypadek tej strasznej choroby. Jestem zdumiony, lordzie, zdumiony — a ze mną wszyscy obecni tutaj panowie. Córka twa, lordzie... chociaż wydaje się to niemożliwe... tak! nasz klimat łagodny... nie zdarza się... a jednak! przynajmniej wszystkie bezwzględnie objawy świadczą o tem, gdyż długi czas byłem w Afryce z ekspedycją naukową... córka twa lordzie zapadła na śpiączkę, na którą medycyna nie zna dotąd lekarstwa!

— Jakto!! więc... — Słowa uwięzły w gardle Balfoura i po raz pierwszy błyskawica przerażenia przebiegła mu przez twarz. Opanował się szybko, lecz lekarz zauważył.

— Tak, milordzie! ukrywaliśmy dotąd prawdę przed panem!

— Czy nie uważa pan, doktorze, że choroba ta, jako powstała przypadkiem w nieodpowiednim klimacie, będzie miała przebieg znacznie lżejszy? Czy z choroby tej nikt nigdy nie wyszedł?

— Bóg jest miłosierny...

Balfour zrozumiał. Uśmiechnął się gorzko.

— Czy dla córki mojej zechce być miłosierny?

— To od Niego zależy — rzekł poważnie lekarz — więc poleć pan córkę Bogu, gdyż żaden człowiek pomóc jej nie może!

— Więc chcecie mnie opuścić, panowie? — żywo odezwał się ambasador.

— Nie jesteśmy potrzebni!

— Ach, zostańcie! może przyjść jakiś kryzys, przesilenie, wasza rada okaże się wówczas konieczną.

Nerwowo dusił papierosa w popielniczce. Żyły na skroniach drgały mu, więc spuścił głowę, by tego nikt nie dostrzegł.

Lekarze spojrzeli na siebie. W oczach ich było pomieszanie i litość. Nie odrzekli jednak nic, tylko skłonili się na znak zgody.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MALINA MICHALSKA

solistka baletu Opery Warszawskiej. — Bliższe szczegóły na stronie 16-tej.

Sylwetki tancerek.

MALINA MICHALSKA.



Malina Michalska w tańcu.

Byłem przed kilkoma dniami za kulisami teatru Wielkiego w Warszawie. Choć to teatr operowy, ale w lecie króluje tam operetka. Owego dnia grano „Hr. Luxemburga". Ze sceny nie dolatywał wszakże śpiew. Może to właśnie scena djalogowa? Nie, bo jednak słychać było przyćmione zlekka dźwięki muzyki. Poczem nagle najnieoczewaniej... huragan oklasków, aż się zatrzęsły stare stuletnie mury teatru Wielkiego... I długo nie milkły kaskady klaskań, którym wtórowały już nawet nie krzyki, ale wręcz ryki:

— Bis, bis!!!

Zaciekawiło mnie to, zaostrzyło dziennikarską chętkę dowiedzenia się wszystkiego. Bo gdyby po arji primadonny, lub bohaterskiego czy lirycznego tenora tak się entuzjazmowano, to jeszcze rozumiem, ale tu?... Głucho i cicho było, tylko lekka muzyczka i nagle...

Zapytuję inspicjanta:

— Co to za burza braw?

Odrzekł krótko:

— Malina Michalska...

A oto po chwili wybiega ze sceny jakaś drobna sylwetka i wpada mi wprost w ramiona...

To właśnie młodziutka triumfatorka...

Zdyszana, zziajana, a mokrusieńka od potu...

To dla informacji tych, którzy myślą, że być tancerką to łatwizna... Pobryka, poskacze pięć czy nawet dziesięć minut, a potem odrazu samochodem na zabawę...

Zresztą, Malina Michalska, o której już na początku sezonu raz króciutko wspomnieliśmy, to zjawisko zupełnie wyjątkowe. Pod każdym względem.

Przedewszystkiem, że w ciągu jednego roku zajęła odrazu czołowe stanowisko w teatrze Wielkim. A to rzecz bardzo niełatwa. Zazwyczaj trzeba być wychowanką szkoły baletowej przy teatrze Wielkim. Pracować długie, długie lata, od dziecka, najmniej z dziesięć lat, żmudnie wspinać się po stopniach hierarchji tanecznej: z uczenicy na adeptkę, z adeptki na tancerkę pełnorawną, a stamtąd dopiero na koryfejkę, solistkę, balerinę, primaballerinę. Każde stadjum trwa po parę lat, a większość zatrzymuje się na stopniu dość dalekim od szczytowego. Tylko wyjątki „dosługują się" czołowych miejsc po wieloletniej pracy.

A „Malinka", jak ją nazywają przyszła, pokazała się i zwyciężyła...

Dzięki czemu? Przedewszystkiem, że obrała sobie specjalność taneczną bardzo trudną i rzadką akrobatykę. Powtóre dlatego, że poza swoją sztuką świata nie widzi i pracuje już nietylko z zapałem, ale wręcz zażarcie, zaciekle, a o niejednej z jej koleżanek można słusznie rzec, że wszystkiem grzeszy, tylko nie pracowitością...

Mówiąc o pracowitości, nie mam na myśli codziennej „młócki" prób i „harówki" spektaklowej. To wszystkie muszą i za wszelkie nietylko opuszczenia, ale i spóźnienia płacą kary conajmniej w wysokości dziennej gaży.

Chodzi o to, że Malinka poza tem wszystkiem jeszcze ćwiczy się w swej umiejętności dzień w dzień conajmniej trzy godziny, świątek czy piątek, nawet w czasie urlopu. Nie licząc układania kompozycji tanecznych...

Zapomniałem bowiem powiedzieć, że Malinka nietylko tańczy, ale sama sobie komponuje swe tańce, sama nawet rysuje kostjumy...

O, bo z tej Malinki to bardzo inteligentna istotka. Mogę powiedzieć „istotka", bo zwinne i zgrabne dziewczątko nie ma jeszcze osiemnastu lat...

Skąd wiem to wszystko?

Bo nie wytrzymałem, żeby tegoż wieczoru nie zrobić z Malinką wywiadu dla „Światowida". I dowiedziałem się jeszcze wielu ciekawych rzeczy.

Malinka jest Wielkopolanką. Tatuś jest lekarzem w jednem z mniejszych miast Wielkopolski. Tam też Malinka kończyła gimnazjum. Skąd jej „wpadła" do głowy owa akrobatyka?

Otarła pot z czoła, odgadnęła niesfornie spadające na oczy powichrzone sploty barwy starego złota, a na jej bladej, bladziutkiej twarzyczce, zabarwił się blado-różowy rumieniec jutrzenki wspomnień:

— Pamiętam, że byłam jeszcze małem dzieckiem, miałam może siedem lat, gdy gościł w naszem mieście cyrk wędrowny. A w tym cyrku były małe dziewczynki i mali chłopcy, którzy fikali koziołki i robili dziwaczne sztuki, wykręcając się i wyginając nie do wiary. I... od owego dnia nie mogłam już sypiać po nocach... Wciąż mi się śniło, że ja też takie rozmaitości wyczyniam... i że też jestem w takim cyrku... Biegłam w dzień i przez dziury w namiocie cyrkowym przypatrywałam się ćwiczeniom akrobatycznym tych dzieciaków, przygotowujących się do występu wieczornego. Potem wracałam do domu i... usiłowałam przerabiać to samo. Szło mi początkowo opornie, a potem coraz lepiej i lepiej. Gdy tak kiedyś przypatrywałam się znów akrobatyce dzieci cyrkowych, podszedł do mnie jeden z cyrkowców i zapytał:

— Czego się gapisz, mała?

— Na te dzieci — mówię.

— A chciałabyś także robić takie sztuki?

— O, nawet już umiem — odpowiedziałam z dumą.

— Ejże... opowiadaj swojej babci... — mruknął z niedowierzaniem.

— Babci już opowiadam — odparłam rezolutnie — i nawet pokazywałam.

— Więc pokaż i mnie, bo inaczej będę cię miał za kłamczuchę.

— Proszę bardzo...

Urażona w mojej dumie z całym zapałem zabrałam się do fikania koziołków, wyginania się i wykręcania.

Cyrkowcy się zbiegli, pogadali coś ze sobą w niezrozumiałym dla mnie języku, choć do polskiego podobnym, poczem ten jeden, co przedtem ze mną mówił, zapytał:

— Chciałabyś się tego uczyć?

— Bardzo...

— To przychodź zawsze o jedenastej. Jak dobrze pójdzie, zabierzemy cię ze sobą.

Uradowana pobiegłam do domu, wołając:

— Mamusiu, tatusiu, babciu, dziadziu, jakie szczęście, jaka radość, cyrkowcy chcą mnie zabrać ze sobą. Będę mogła z innemi dziećmi fikać koziołki i będą mi wszyscy bili brawo, a ja dygnę, uśmiechnę się i powiem: „Voila!" Już jutro idę na lekcję...

Skutek był spodziewany, choć dla mnie wielce nieoczekiwany. Tatuś powiedział krótko:

— Ani mi się waż!...

Poczem znów wszyscy ze sobą pogadali coś w języku dla mnie niezrozumiałym, a do polskiego zupełnie niepodobnym, tylko wciąż „non, non", „la petite", a potem pilnowali, jak oka w głowie i zabronili samej wychodzić z domu, wzięli guwernantkę i wogóle było niedobrze.



Malina Michalska, to uosobienie urody i wdzięku...

Ja już się wyrzekłam cyrku, ale nie akrobatyki. W dalszym ciągu robiłam swoje. Rodzice się pogodzili z losem. Nawet, gdy do nas goście przychodzili, pokazywałam moje sztuki. Widząc, że mi tego z głowy nie wybiją, mówili rodzice:

— Skończ tylko gimnazjum, to będziesz się tego uczyła.

Może dlatego właśnie miałam zawsze dobre stopnie w szkole, bo wiedziałam, że im prędzej skończę szkołę, tem szybciej zacznę się uczyć akrobatyki, narazie pracując nad tem „własnym przemysłem".

Pewnego lata pojechaliśmy z wizytą na wieś do maj. Mikorzyna, własności pp. Iwańskich, naszych dobrych znajomych. Bawiła tam właśnie znana profesorka akrobatyki tanecznej Halina Hulanicka. Popisywałam się przed nią. Znów zaczęła się rozmowa we wciąż jeszcze niezrozumiałym dla mnie języku, ale to pamiętam, że choć nadal było tam „la petite", lecz „non, non" mówili moi rodzice coraz słabiej, natomiast „oui, oui" p. Hulanickiej było coraz bardziej przekonywujące.

Ja już wtedy zrozumiałam, o co idzie i powiedziałam:

— Przecież ja poto tylko tak pilnie uczyłam się w gimnazjum tyle lat, żeby móc potem uczyć się akrobatyki.

Zawtórował mi ogólny śmiech i padło słowo „enfant terrible". Rodzice moi byli wielce zażenowani, ale ulegając namowom i moim prośbom, pozwolili po skończeniu szkoły pojechać mi do Warszawy, oddając pod opiekę prof. Hulanickiej.

Tu w Warszawie — praca, praca i praca. Z zaciekłością, z zaparciem się siebie, z wyrzeczeniem wszystkiego innego... Debiut w teatrze Wielkim i... nareszcie owe upragnione oklaski, coraz większe i głośniejsze, ten najmilszy i najcudniejszy narkotyk, tak upojnie oszałamiający, tak rozkosznie odurzający... Dla tych oklasków warto zapracowywać się niemal do utraty przytomności, warto narażać się na wszelkie „szpilki" i „ukłucia" teatralne, gdzie, jak wiadomo, każdy o tem tylko myśli, aby drugiemu nogę podstawić, znosić wszystkie plotki i intrygi...

— O, proszę pani, co do plotek mam dla pani radę. Co do docinków i uszczypliwych uwag również. Niech pani w takich razach postępuje, jak pociąg...

— A mianowicie?

— Gwizdnąć i odejść...

— Bardzo słusznie. Będę tak teraz robiła...

— A teraz muszę pani zadać pytanie zasadnicze. Czy pani nie uważa, że należałoby pani wyczyny akrobatyczne bardziej utanecznić? Uważam, że akrobatyka w tańcu ma rację bytu jedynie, jako jeden ze środków ekspresji tanecznej. Sama w sobie niema racji bytu.

— Mojem zadaniem będzie przekonać pana dalszemi mojemi kompozycjami, że jest inaczej. Być może, iż moje dotychczasowe kreacje miały charakter zbyt „techniczny". I choć tak bardzo się podobały publiczności, ujrzy mnie pan w „Rose-Marie", gdzie mam solowy taniec z wachlarzem, już w bardziej „utanecznionej" kompozycji tanecznej. Ale to, co szykuję na najbliższą przyszłość, będzie czystą akrobatyką, a jednak nie „cyrkiem". Bo postaram się akrobatycznie odtwarzać moje przeżycia. Po raz pierwszy w Polsce odtańczę akrobatycznie utwór tak poważny, jak „Karnawał" Schumanna. Pozatem zaś uważam, że do tańca akrobatycznego powinna być specjalna muzyka. Mam już „na warsztacie" mój najnowszy pomysł: „Złotowłosą czarownicę". Muzykę do tego specjalnie tworzy kompozytor Perkowski.

— A teraz jeszcze jedno pytanie: dlaczego pani jest zawsze taka biała? To może nie jest takie dobre...

— Widział już pan kiedy „pierrota" z rumieńcem? To mój styl. Ja jestem przecież „pajac" fik-mik... Jestem, jak „pierrocik" romantyczna, marzycielska, bezcielesna... Chcę być zjawą, chcę nawiedzać widmowo i znikać, jak sen złoty...

I rzeczywiście, gdy na chwilę starałem się w myśli zebrać i zastanowić się nad tem, co mi powiedziała, spostrzegłem nagle, że jestem sam... Zniknęła... Został po niej tylko aromat upajających perfum „Mitsouko"...

Henryk Liński.



Malina Michalska, fenomenalna tancerka akrobatyczna baletu Opery Warszawskiej.

ROZMOWA ZE STEFANEM JARACZEM

Stefan Jaracz wraz z całym zespołem swojego Teatru Aktora po zakończeniu sezonu w Warszawie, wyruszył w lipcu na gościnne występy z dwiema komedjami: „Pan Brotonneau“ Flersa i Caillavet'a i „Chory z urojenia“ Moliera. Teatr Aktora odwiedził Poznań, Łódź, a potem w pierwszych dniach sierpnia przybył do Krakowa. Wtedy to nasz współpracownik miał sposobność rozmawiania ze Stefanem Jaraczem. Obecnie wielki artysta za kilka dni rozpocznie swe gościnne występy w Poznaniu, w sztuce pisarzy włoskich Al. Stefani i Feruccio Cevio p. t. „Krzyk“.

Idziemy obaj z Jaraczem przez planty krakowskie. Rozmawiamy naturalnie o teatrze. To znaczy Jaracz mówi, a ja tylko jakiemś zdaniem lub nawet słowem, podniecam myśl Jaracza, która pasją słów kształtuje przedemną jaraczową wizję dobrego polskiego teatru.

Jaracz jest 7 lat poza oficjalnemi państwowemi lub miejskiemi teatrami. Nie mógł się nagiąć do specyficznych warunków pracy, do szablonu, skostnienia i nudy, czem był otoczony. Własne odłożone pieniądze włożył w założenie prywatnego teatru, który prowadzi od kilku lat. Pieniądze stracił, dziś ma długi, ale dobrze zasłużył się polskiej kulturze teatralnej i jej krzewieniu, a teatr Jaracza czy nosił nazwę „Ateneum“, „Nowa Komedja“, czy „Teatr Aktora“, był zawsze ciekawy, dobry, twórczy. Przed kilku tygodniami zapowiedział jednak Jaracz, rozgoryczony i rozżalony na brak poparcia, gorzej, na wrogie utrudnianie mu pracy, że już więcej prywatnego teatru prowadzić nie będzie, że porzuci Warszawę.

Pytam go, czy nie zmienił postanowienia.

— Zmieniłem. Będę prowadził w Warszawie dalej swój prywatny teatr w gmachu „Ateneum“. W innych teatrach nie mogę się zmieścić. Cały zespół dramatyczny „Teatru Aktora“ zatrzymuję przy sobie.

— Zespół dobry, giętki — dorzucam. — A repertuar?

Ironiczny uśmiech Jaracza. Mówi, że nie wie jeszcze co będzie mógł grać, bo nawet klasycznego repertuaru grać mu nie wolno. Gdy niedawno chciał zagrać „Mizantropa“ Moliera, to mu oświadczono, że „Mizantrop“ jest zastrzeżony, że grać go będzie inny teatr. (A Jaracz jako Mizantrop — to byłaby rewelacja). „Mizantropa“ żaden teatr w Warszawie nie zagrał, a Jaracz z „Chorego z urojenia“ stworzył arcydzieło.

Rzucam zapytanie, czy zdaniem Jaracza istnieje kryzys teatru, kryzys repertuaru.

Jaracz zapala się. Protestuje gwałtownie.

— Niema kryzysu teatralnego. Niema kryzysu repertuaru. Jest kryzys wymagań publiczności. Publiczność nie chce złego teatru. Nauczył ją tego film, który publiczności bynajmniej nie zepsuł. Nauczona filmem, publiczność nie przepuści żadnego szablonu, żadnej szmiry, żadnego lekceważenia...

W Polsce jest świetny materjał aktorski, są znakomici aktorzy, ale niema wodzów — niema twórczych i rzeczywiście odpowiedzialnych kierowników teatru. To, proszę pana, tak; jak w powstaniu listopadowem. Był zapał, było wojsko, zabrakło wodzów. I dlatego powstanie upadło.

— Repertuar? Ja myślę dziś tylko o repertuarze klasycznym. To chcę grać i temu chcę się poświęcić. Sztuki klasyczne — np. Szekspir, Molier — ale odświeżeni przez nowoczesne ujęcie. Hamlet we fraku, jak to próbowano grać — to błazeństwo. Na scenie w sztuce klasycznej musi odżyć i przemówić do życia prawda psychologiczna. Dziś są inne współczesne środki analizy psychologicznej. One muszą dojść do głosu. Z komedyj klasycznych dowcip niejednokrotnie wywietrzał. Ale pozostały świetne sytuacje. I te trzeba zagrać tak, by publiczność się bawiła. Jeżeli ja dziś widzę, że na „Chorym z urojenia“ publiczność się bawi, to uważam, że komedja ta jest dobrze zagrana. Nie wolno dyrektorom teatrów bać się repertuaru klasycznego i zaniedbywać go. W Moskwie niejednokrotnie kilka teatrów gra równocześnie Szekspira. W Berlinie widziałem raz, aż cztery teatry, zapowiadające równocześnie „Fausta“. To jest rywalizacja, to jest wyścig twórczości. U nas wszystkie teatry są jednakowe, szablonowe.

Uzupełniam uwagi Jaracza wspomnieniem, że „Poskromienie złośnicy“ Szekspira, grane w Warszawie, było nudne, bo grano je szablonowo, ciężko, a to samo „Poskromienie złośnicy“ w ciekawej i barwnej inscenizacji krakowskiej (Białkowskiego i Frycza), było rozkosznem widowiskiem.

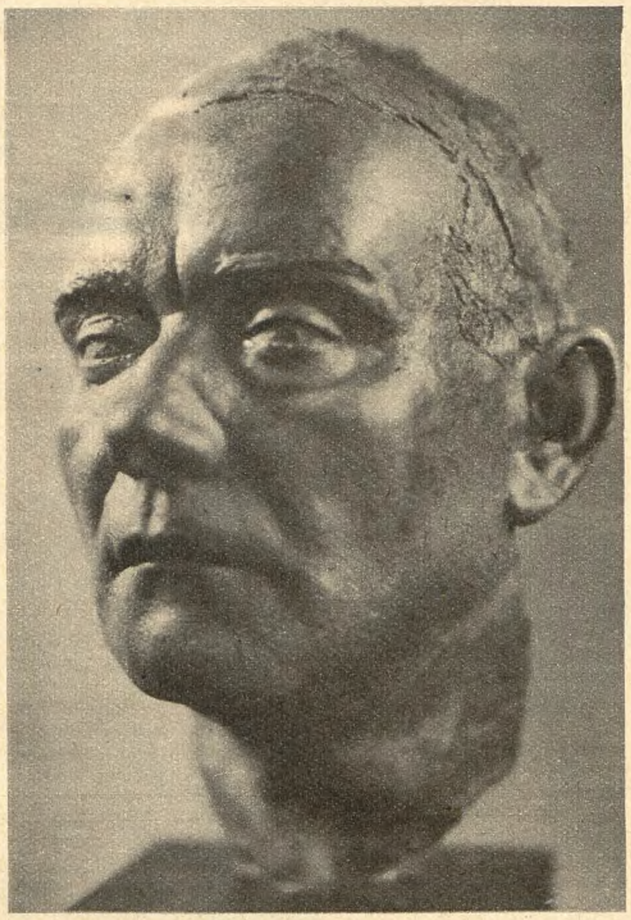
Mówimy jeszcze o dyrektorach i kierownikach teatrów. Zdaniem Jaracza, dyrektorem twórczym może być jedynie z krwi i kości człowiek teatru. Historja teatru wskazuje, że rola takiego dyrektora w przeważającym procencie przypadała zawsze aktorom. Nie mówiąc już o Molierze i Szekspirze, wspomnieć trzeba, że ojcem polskiego teatru jest aktor Bogusławski, a historja współczesnego polskiego teatru najgłośniej zapisuje jako dyrektorów nazwiska Solskiego, Kotarbińskiego, Zelwerowicza i Osterwy, (od siebie dodać musimy i — Jaracza!). Człowiekiem teatru był przedewszystkiem Wyspiański, ale jemu nie danem było objąć teatru krakowskiego. Choć nie był dyrektorem, wielki kierunek teatru wskazał Kamiński. Dorzuca jeszcze Jaracz, że wybór prof. Frycza, prawdziwego człowieka teatru, na dyrektora sceny krakowskiej uważa za najszczęśliwszy.

Wspominamy jeszcze o polskich reżyserach. Mówię o Perzanowskiej. Zgadzam się zupełnie z Jaraczem, który uważa ją za doskonałą reżyserkę, jedną z najlepszych w Polsce.

Wielki aktor Jaracz, którego niedawno uczczono jubileuszem 30-lecia twórczości scenicznej, zasługuje na to, by zwrócono przedewszystkiem uwagę na jego prywatny teatr, by nie pozwolono upaść jaraczowej scenie, bezwarunkowo najciekawszej i najpracowitszej w Polsce.

— Wołam — mówi Jaracz — dajcie mi warsztat pracy (scenę, dekoracje, aktorów), a stworzę teatr najlepszy w Europie. Nie chcę dla siebie nic. — Cóż, skoro mi nie wierzą. Muszę więc prowadzić teatr gorszy.

Jaracz uśmiecha się, a w uśmiechu tym jest ironja i ból. **(s. w. bal.).**



Stefan Jaracz — rzeźba-maska Lindenfelda.

MATURYCZNE i DOKSZTAŁCAJĄCE KURSY

»W I E D Z A«

KRAKÓW, UL. BRONISŁAWA PIERACKIEGO 14/I.

przygotowują na ustnych lekcjach **zbiorowych**, oraz w drodze **korespondencji**, do egzaminu dojrzałości gimn., do egz. z 6-ciu kl. gimn., **z zakresu I i II kl. gimn. nowego ustroju**, oraz do egz. z 7-miu kl. szkoły powsz. Wykładają wybitne siły fachowe. Opłaty niskie. 612



Psy wszelkich ras

luksusowe, podwórzowe, do obrony i myśliwskie.

Eksport do wszystkich części świata. — Piękne ilustrowane albumy z cenami i opisami ras Zł. 3.— (znaczkami pocztowemi).

ARTUR SEYFARTH

BAD KÖSTRITZ 112 (THÜR.) NIEMCY.

Rok założ. 1864. 628

WYPRAWA JOHNSONÓW DO KRAJU KENYA.







Sceny z filmu „Baboona“.

Fot. Fox-Film, Warszawa.

Miljony niebezpieczeństw piętrzą się przed odważnymi podróżnikami, którzy chcą uchylić rąbka tajemnicy, pokrywającej niezbadany dotychczas Czarny ląd — serce dzikiej puszczy afrykańskiej. Nie brak jednak śmiałków, którzy wyruszyli do walki z temi niebezpieczeństwami. Poraz pierwszy w dziejach świata użyto w tym celu dwóch samolotów, specjalnie skonstruowanych przez inż. Sikorskiego. Dzielni podróżnicy przebyli 48 tys. kilometrów nad niezbadanym dotychczas lądem. Dotarli do krainy Kanya, znanej dotąd tylko z legend, kursujących wśród murzynów. W krainie tej dotąd nie postała nigdy noga białego człowieka i wtargnięcie do niej uważane było za niemożliwe.

Tajemniczej tej krainie poświęcono wielki film „Baboona“, który wywołał sensację na całym świecie. Ujrzymy go wkrótce w Polsce z objaśnieniami w języku polskim.

FESTIVAL MUZYCZNY W SALZBURGU
pod znakiem Grety Garbo.



Greta Garbo.

(Korespondencja własna „Światowida").

Salzburg, w sierpniu.

Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, tłumy ludzi. Na dworcu, na promenadzie, przed placem katedralnym, w kawiarniach słychać obce języki. Samochody prywatne noszą znaki wszystkich państw europejskich. Do wybitnych osobistości przyzwyczajony jest Salzburg od szeregu lat.

Oto przechadza się słynny Toscanini w swym czarnym, charakterystycznym kapeluszu, rozprawiając żywo z jakąś piękną panią. Tu i ówdzie przemknie chyłkiem Reinhardt, śpiesząc na próbę. Literatów, krytyków teatralnych, recenzentów muzycznych i artystów — całe falangi.

Podczas gdy w dzień podziwiać można na ulicy piękne, ludowe stroje salzburskie, obowiązuje wieczorem, głównie przed „Festspielhaus" strój smokingowy. Panie w eleganckich sukniach zajeżdżają samochodami. Obok wytwornych perfum unosi się w powietrzu nerwowy nastrój, pełen wyczekiwania, jaki zaobserwować można zawsze w obliczu jakiejś wielkiej biesiady artystycznej.

I niejeden cudzoziemiec, przeżywając te niezwykłe emocje, jakiemi go darzy ojczyzna Mozarta, zapytuje słusznie: Czemu Salzburg, a nie Wiedeń? Wiedeń ze swymi pięknymi placami, ze swą olbrzymią kulturą muzyczną ustąpić musiał miejsca Salzburgowi, o którym się jednak mówi powszechnie, że w czasie festivalu reprezentuje on godnie — Austrję.

Armja wodzów duchowych, muzyków, poetów, malarzy i rzeźbiarzy stworzyła z Salzburga po ukończeniu wojny światowej świątynię sztuki. Hugo v. Hofmannsthal, Max Reinhardt, Alfred Roller i Franciszek Schalk położyli fundamenty pod budowę tej świątyni, której wnętrze wchłania w siebie obecnie cały międzynarodowy świat kulturalny.

Piętnaście lat z rzędu odbywają się już pielgrzymki do tego miasta, nad którem czuwa duch opiekuńczy Mozarta.

Ale tak jak Mozart króluje tu niepodzielnie w dziedzinie muzyki, tak w dziedzinie dramatu panem jest „Faust" Goethego w genjalnej inscenizacji Reinhardta.

T. zw. „Fauststadt" w Salzburgu jest w całem tego słowa znaczeniu siedzibą mistycznego dra Fausta, w której bez przesuwania jakichkolwiek kulisów czy też zmian dekoracyj, toczy się akcja dramatu nieśmiertelnego poety dawnych Niemiec. Poszczególne sceny naświetlane są reflektorami, podczas gdy reszta tego „miasta" pogrążoną jest w ciemnościach.

Nawet na wypadek deszczu znalazło się wyjście z sytuacji. Nad „miastem", tudzież widownią roztacza się bowiem olbrzymiej wielkości dach, przy pomocy specjalnej maszynerji, chroniąc tak aktorów, jak też i widzów przed złą pogodą.

W Salzburgu nie mówi się w czasie festivalu o polityce. Tych, którzy tu przybyli interesuje jedynie i wyłącznie muzyka Verdiego i Mozarta.

Ale już zgóry stwierdzić można, że tegoroczne przedstawienie „Falstafa" pod batutą Toscaniniego było jednem z najlepszych, jakie podziwiano dotąd w tem mieście o niezwykłej kulturze muzycznej. Może właśnie dlatego, że dyrygował — Toscanini.

Z innych wystawionych tu oper wymienić należy „Cosi fan tutte" (dyryg. Weingartner) i „Don Juan" (dyryg. Walter). Prawdziwa sensacja jest jednak zawsze wtedy, kiedy dyryguje Toscanini.

Tak było też i z operą „Fidelio". Wszystkie bilety w mig rozchwytane. Handel pokątny biletami kwitł w całej pełni.

A podczas gdy jedna z obecnie największych śpiewaczek wiedeńskiej opery państwowej, Lotte Lehmann, zbierała oklaski na otwartej scenie, stał się Toscanini przedmiotem tak żywiołowych owacyj, że aż zieleniał ze.... złości... (Stwierdzić bowiem należy, że jest to człowiek niezwykle skromny. Nienawidzi wywiadów prasowych, nie chce udzielać się towarzysko, spędzając najchętniej wolne chwile w gronie swej rodziny).

Tymczasem jednak stoi cały Salzburg, jak długi i szeroki pod znakiem... Grety Garbo, która ani nie śpiewa, ani też nie gra w teatrze.

I nie wiedzieć, czy to reklama, czy też fakt oczywisty. Bo od tygodnia potracili w Salzburgu wszyscy cudzoziemcy głowy, szukając nadaremnie... Grety Garbo.

Już przed szeregiem dni puszczono w prasie pogłoskę, że boska Garbo przybyć ma do Salzburga, zaproszona przez Reinhardta na jego zamek jako gość prywatny, celem zobaczenia „Fausta" w jego inscenizacji.

Ile w tem prawdy — dotąd niewiadomo. Ale ludzi ogarnęła jakaś psychoza.

Jedni twierdzą, że już przybyła. Drudzy utrzymują, że przybędzie lada dzień, z nieodłącznemi czarnemi okularami na nosie, aby chyłkiem przedostać się na zamek Reinhardta, unikając skrzętnie tłumu wielbicieli.

Operatorzy filmowi czekają w pobliżu zamku dzień i noc ze swymi aparatami, gotowymi do „wchłonięcia" całej Garbo wraz z jej... okularami. Tajemniczość tej kobiety pobudza fantazję ludzką do najśmielszych nawet przypuszczeń.

Są tacy, którzy w każdej przechodzącej kobiecie widzą... Gretę Garbo, biegnąc za nią jak opętani... Słowem — sensacja niebywała.

Taki świat jest już dzisiaj, że jednakże gwiazda filmowa posiada w sobie tyle mocy i potęgi, aby móc osobą swoją zaćmiewać nieśmiertelny genjusz Mozarta, Verdiego i — Goethego.

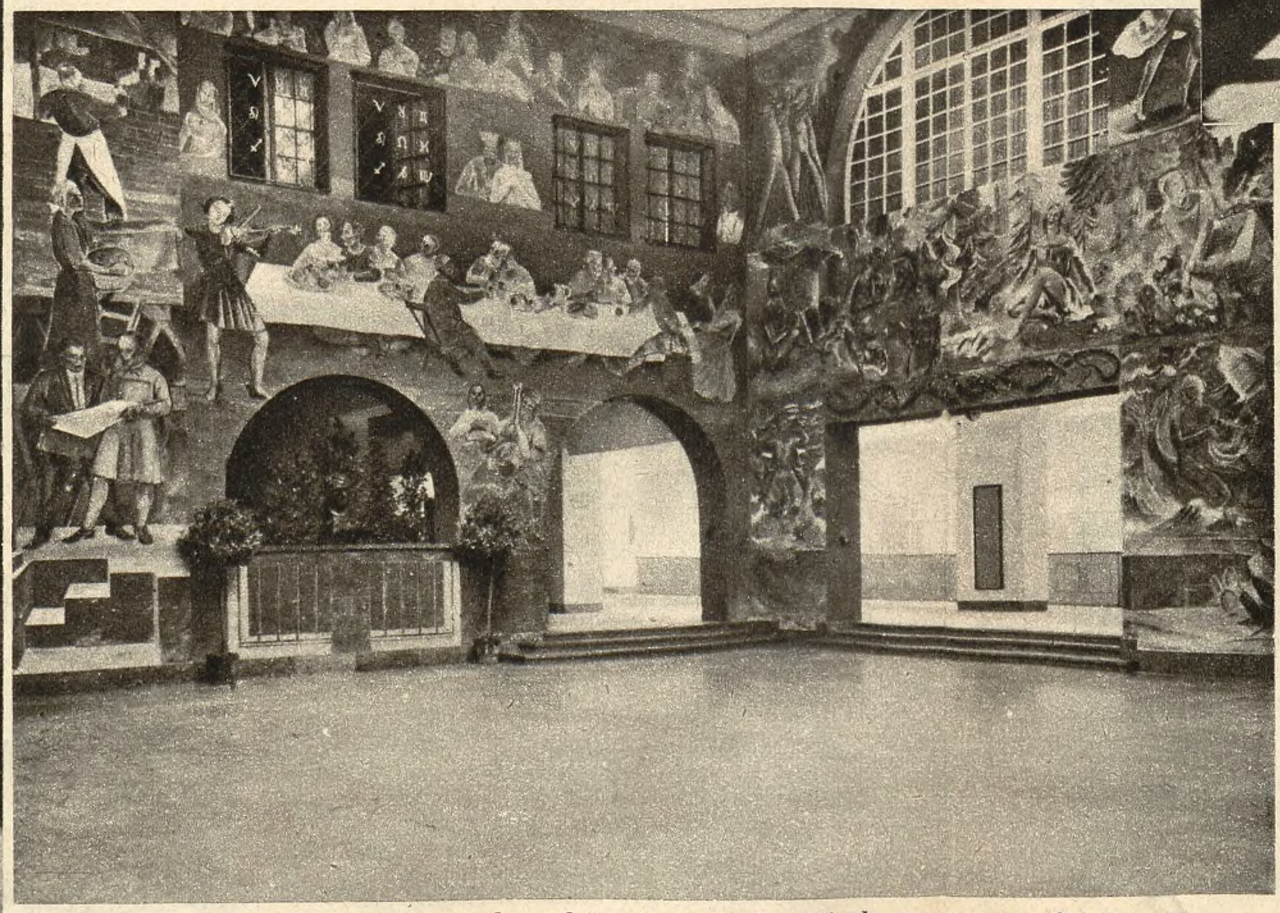
Mieczysław Lisowski.



Wnętrze kościoła OO. Franciszkanów w Salzburgu.
Fot. Österr. Lichtbildstelle.



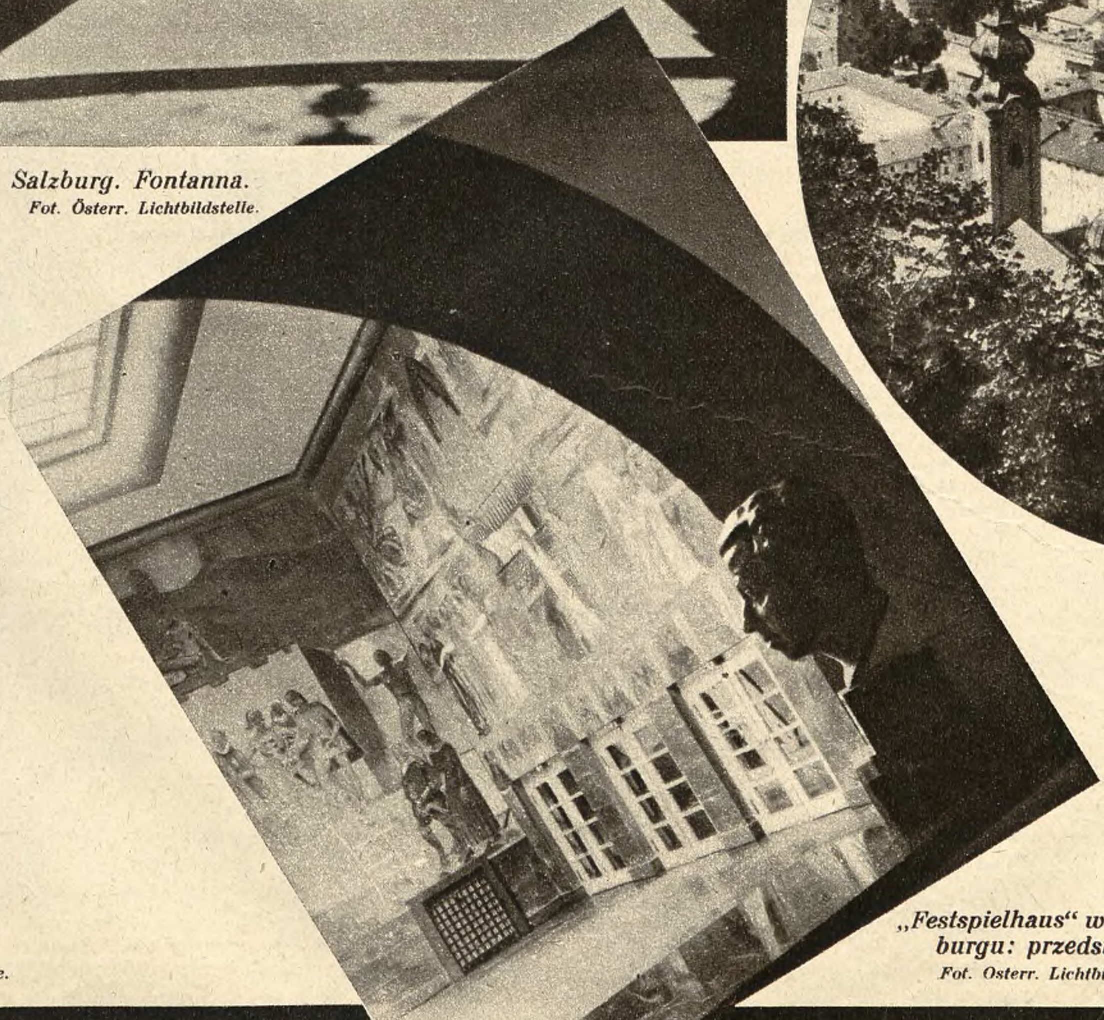
Salzburg. Fontanna.
Fot. Österr. Lichtbildstelle.



Freski we wnętrzu gmachu, gdzie odbywają się festivale muzyczne w Salzburgu.
Fot. Österr. Lichtbildstelle.

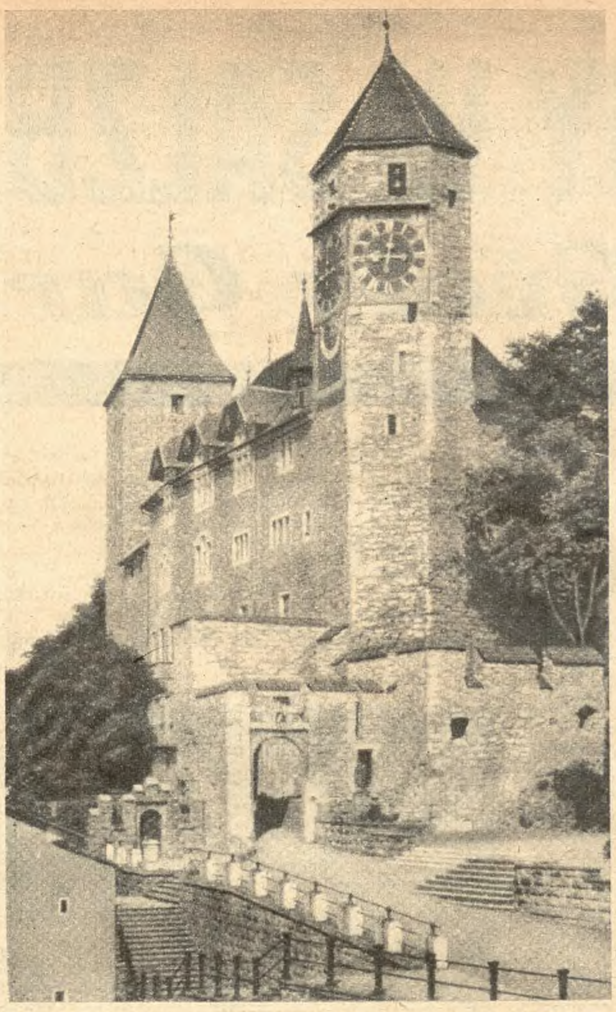


Widok ogólny Salzburga.

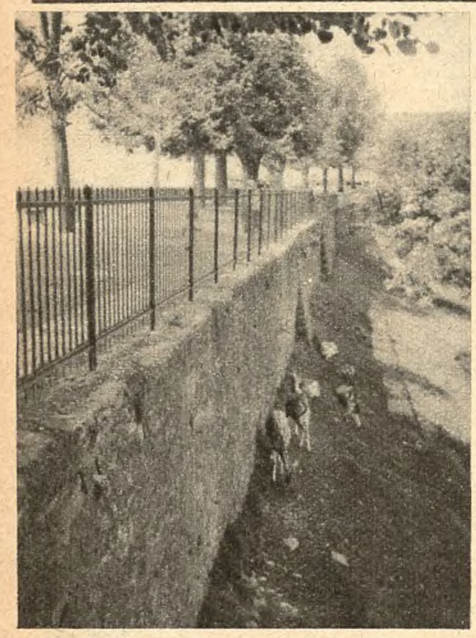


„Festspielhaus" w Salzburgu: przedsionek.
Fot. Österr. Lichtbildstelle.

POLSKIE MUZEA NA SZWAJCARSKIEJ ZIEMI.



Zamek w Rapperswillu, w którym w r. 1870 założył muzeum pamiątek naiodowych hr. Plater.



Sarny, obok muru zamku rapperswillskiego.

Zürich, w sierpniu

Tam, gdzie kończy się jezioro Zuryskie, a zaczyna górna jego część, zwana Obersee, przy szerokiej tamie kolejowej, przerzucającej się nad drugi brzeg jeziora — leży na malowniczym półwyspie miłe miasteczko szwajcarskie Rapperswil. Znane ono jest i drogie każdemu Polakowi, znane także wszystkim Szwajcarom, którzy wiedzą i pamiętają, że do niedawna znajdowało się tu na wyniosłym starym zamku muzeum polskie, mieszczące serce Kościuszki oraz cenne eksponaty. Muzeum to założył w r. 1870 Broel-Plater, uczestnik powstania styczniowego, który spoczywa wraz z żoną na cmentarzu w Rapperswilu. Niestety przed paru laty zwinięto to muzeum i zabrano je do Polski, co jest z wielką szkodą dla polskiej propagandy. Ponieważ zaś zamek wydzierżawiony jest przez rząd polski aż do roku 1965 — teraz stoi on pustką i marnuje się. Podobno mają tu zakładać nowe muzeum polskie, ale narazie uwaga tutejszej nielicznej gromadki Polaków zwrócona jest raczej na tworzenie muzeum Kościuszkowskiego w Solurze, gdzie umarł nasz bohater.

Zamek w Rapperswilu jest celem licznych wycieczek z Zürichu i okolicy, nietylko dla ciekawych szczegółów starej, bo 700 lat liczącej budowli, ale i dla pięknego widoku, jaki roztacza się ze słynnego dziedzińca zamkowego Lindenhof. Widać stąd wielki zasięg jeziora i miłe nadbrzeżne osady, w dali zaś, ku południowi, potężny i bliski mur Alp, uwieńczonych jeszcze mimo teraźniejszych upałów grubemi śniegami.

Gruby mur okala potężne zamczysko i baszty. Wewnątrz na dziedzińcu wznosi się smukła i piękna kolumna polska, zwana tu Polnisches Denkmal, albo Polensäule. Szczyt jej wieńczy orzeł polski z rozpostartemi skrzydłami, na dole herby i orły polskie, oraz napis w czterech językach: po polsku, francusku, niemiecku i łacinie: „Niespożyty duch polski, stuletnią krwawą walką protestujący przeciw ciemiężącej go przemocy, z wolnej ziemi Helwetów przemawia do sprawiedliwości Boga i świata". Poniżej daty konfederacji barskiej, konstytucji 3-go Maja, obu powstań. Robi to niezwykłe i wielkie wrażenie na zabłąkanych tu Polakach, gdy się zwłaszcza przyjeżdża z wolnej i potężnej ojczyzny. Jako Polka i dziennikarka, uprzejmie przyjęta, zwiedzam resztki zbiorów, które są zarazem forpocztą nowych, mających w jesieni przybyć eksponatów: stroji góralskich z Zakopanego, tamtejszych rzeźb i wyrobów skórzanych, kilkunastu dobrych kilimów, barwnej majoliki i obrazków na szkle. Dalsze obszerne komnaty mieszczą obecnie w braku innych eksponatów meble na wzór starożytnych, wyrabiane przez miejscowych stolarzy. Także trochę starych modeli statków, strzelb i skrzyń. Wielka sala z przepięknym stropem dębowym, odnowionym kosztem 60.000 franków przez rząd polski, mieści w tej chwili obrazy, zapisane muzeum polskiemu przez jednego z bogatych Szwajcarów. Osobliwością i miłą niespodzianką dla nas zwiedzających jest ogromny i pięknie wykonany orzeł polski nad drzwiami, zajmujący prawie całą ścianę sali. Z okien jej roztacza się przepiękny widok na maleńkie ogródki jarzynowo-owocowe, przytulone do murów zamku, na schludne miasteczko o jednolitych czerwonych dachach, na góry i jezioro. Winduję się jeszcze tajemniczemi krużgankami po wąskich, dębowych, nierównych schodach na najwyższą wieżę, gdzie mieści się księga pamiątkowa i skąd jeszcze rozleglejsza, imponująca wprost panorama na Lindenhaf, dziedziniec z kolumną i niezmierzoną równię wody.



Ogólny widok Rapperswillu od strony jeziora.

Schody i korytarze wszędzie odnowione, bardzo porządnie utrzymane, sale jasne i duże, w jednej odbywają się próby orkiestry miejscowej, inne puste, czekają na nowe polskie zbiory. Stróż i bileterka bardzo dobrze wyrażają się o rządach muzealnych i czekają niecierpliwie nowego napływu eksponatów.

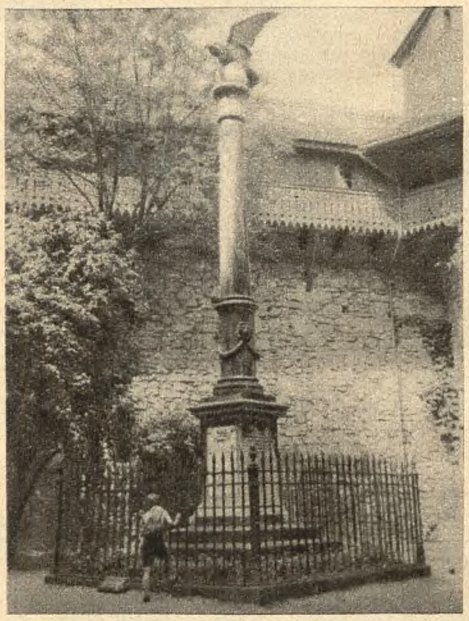
Oglądnąwszy jeszcze ze wzruszeniem kilkadziesiąt dobrych zdjęć ze wszystkich stron Polski, i raz jeszcze piękną kolumnę z orłem, lądujemy na dziedzińcu lipowym, gdzie potężnej grubości lipy szumią na ciepłym wietrze. Odbywała się tu niedawno serenada kwartetu z Winterthur, którą miałam sposobność usłyszeć. Nastrój tej serenady i księżycowej nocy pod wieżycami zamku był wspaniały.

Poniżej murów, w siatkowem ogrodzeniu, biega 10 saren z młodemi! Są tak oswojone, że z ręki biorą bułkę i wesoło pląsają po bujnej murawie. Kręte, wygodne schody sprowadzają z wyniosłej góry w jedną stronę ku miastu, w drugą do saren i kąpieli, w trzecią do kościoła i cmentarza. Kościół katolicki bardzo bogato wewnątrz malowany, jest stale otwarty, obok mała kapliczka, w której mieściło się serce Kościuszki. Na przyległym, pięknie utrzymanym cmentarzu, pełnym kwiatów, znalazłam kilka polskich grobów.

Samo miasteczko liczy zaledwie 5.000 mieszkańców, ale jak na to, jest bardzo ożywione i z dużym rozmachem urządzone. Rozległe cieniste aleje kasztanowe wzdłuż brzegów i portu, nowoczesne kąpielisko, śmiała tama z szosą asfaltową i torem kolei, wiodąca do Pfäfikonu, różarnie w porcie, miłe hoteliki „Schwanen", „au Lac" i inne pełne tarasów i kwiatów, szerokie ulice i porządne sklepy, nadają tej osadzie, która żywo przypomniała mi niemiecki Meersburg nad Bodensee, wcale nie małomiasteczkowy charakter. W połowie tamy tkwi wbity w jezioro słup kamienny, jako granica trzech schodzących się tu kantonów: Schwyz, St. Gallen i Zürich. Rapperswil należy już do kantonu St. Gallen i jako ważny punkt węzłowy ma połączenie z St. Gallen, do Zürichu zaś odchodzą co dwie godziny bardzo szybkie pociągi. W godzinę jest się tutaj, można zwiedzić dokładnie zamek i miasto, wykąpać się, zjeść obiad z plecaka i wrócić wczesnym wieczorem.

Na wspomniane muzeum Kościuszkowskie w Solurze zbiera się tu już składki, do których w dużej części przyczyniają się chętnie Polakom zamożne towarzystwa akcyjne i banki szwajcarskie.

Solura leży u stóp Jury nad malowniczym Aaarem i posiada ciekawe zabytki starożytne, jak katedrę, resztki starych fortów, ciekawe fontanny i studnie, a co dla nas najważniejsze, Dom Kościuszki, w którym nasz bohater narodowy zmarł 15 października 1817 r.



Kolumna z orłem polskim na dziedzińcu zamkowym w Rapperswillu.

Dzięki uprzejmości dra Bronarskiego z poselstwa polskiego w Bernie, otrzymałam nieco wiadomości o Domu Kościuszki i planowanem muzeum. Otóż kult dla Kościuszki tak jest po dziś dzień zakorzeniony w Szwajcarji, że wiedzą o nim wszystkie dzieci szkolne, albowiem w wypisach ich znajdują się opowiadania o koniu Kościuszki, który był przyzwyczajony do zatrzymywania się przed każdym żebrakiem. Po Kongresie Wiedeńskim, zawiedziony w nadziejach ojczystych — Kościuszko przeniósł się na stałe do Szwajcarji i zamieszkał u swoich przyjaciół szwajcarskich Zeltnerów w Solurze. Kraj ten polubił szczerze, a jako inżyniera-konstruktora słynnych fortów amerykańskich z czasu wojen o niepodległość Stanów Zjednoczonych, interesowały go zabytki architektoniczne Solury. Jak mówi podanie, jeden z mostów tamtejszych powstał według jego planu. Kościuszko żył w Solurze jeszcze dwa lata, a dom jego przy ulicy Gurzelngasse zachował się dobrze i niedawno został odnowiony.

Przed śmiercią odwiedzał Naczelnika generał Paszkowski, oraz w przejeździe do Włoch dozgonna miłość Kościuszki Ludwika Sosnowska, zamężna za ks. Lubomirskim. Kościuszko hojnie obdarzał uboższe rodziny Solury, a umierając podzielił część majątku między gen. Paszkowskiego i córkę przyjaciela, Emilję Zeltner, której też zapisał swoje serce. Po wspaniałym manifestacyjnym pogrzebie, ciało bohatera spoczęło w miejscowym kościele, a po dwu latach przewiezione zostało na Wawel. W sąsiedniej gminie Zuchwil znajduje się na cmentarzu grobowiec Naczelnika, wzniesiony przez Zeltnerów. Obecnie muzeum polskie powstaje z inicjatywy Poselstwa Polskiego w Bernie, jako owoc współpracy polsko-szwajcarskiej.

Mewa.

KAPRYS HISZPAŃSKI.



Marlena Dietrich i Cezar Romero wystąpią w przełojowym filmie Paramountu p. t. „Kaprys hiszpański", którego premjera odbędzie się w najbliższych dniach w Warszawie.

„RADOŚĆ MEGO SERCA".



Diana Napier, partnerka Ryszarda Taubera, w wielkim filmie muzycznym „Radość mego serca" wytwórni B. I. P. bije urodą wszystkie swoje rywalki o renomowanych nazwiskach. *Fot. B. I. P.*

663



Jak świeży powiew wiatru orzeźwia w upalne, parne dni wspaniała "4711". W domu i w podróży, przy sporcie i w towarzystwie — prawdziwa woda kolońska "4711" jest zawsze niezastąpionym towarzyszem.

№ 4711 Eau de Cologne

WYRABIANE CAŁKOWICIE W DZIEDZICACH ŚL. CIESZ.

Mycie włosów bez mydła!



Oto hasło każdej Pani!

I Pani, jak wiele innych, przekona się, że nowe, wolne od mydła Specjalne Shampoony Elida przynoszą wiele korzyści. Bez płukania cytryną względnie octem włosy będą piękne, błyszczące i dadzą się łatwo i trwale ufryzować.
Specjalny Shampoo Elida, wolny od mydła a tem samem od szkodliwych dla włosów alkalij, jest najlepszym środkiem pielęgnacji włosów. Dzięki niemu znika szary osad, który odbierał włosom połysk, znika szorstkość i pęcznienie włosów.

DO BLOND WŁOSÓW
KAMILLOFLOR
SPECJALNE SHAMPOONY ELIDA
BRUNETAFLOR
DO CIEMNYCH WŁOSÓW

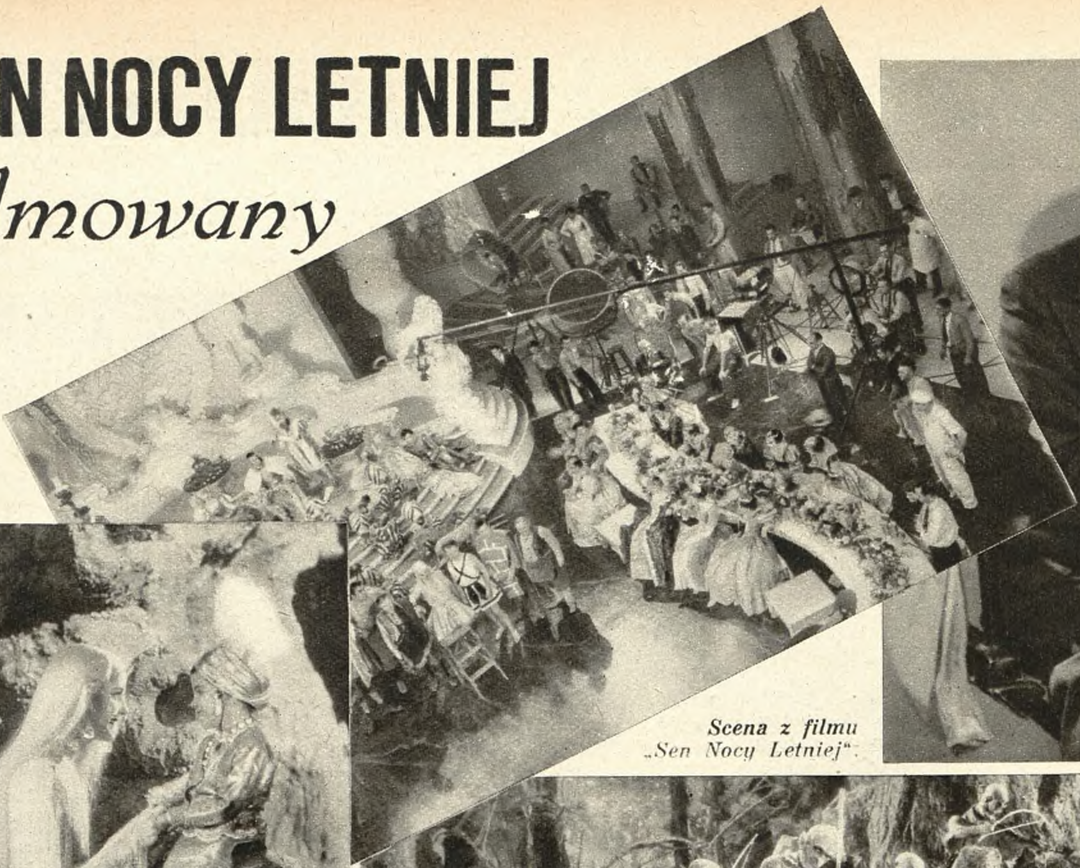
STEFCIA GÓRSKA



urocza artystka, występująca obecnie w rewji „Pod włos“ w „Cyruliku warszawskim“. *Fot. Brzozowski, Warszawa.*

KUPON Nr. 34 *upoważniający do losowania nagrody*

SEN NOCY LETNIEJ
sfilmowany



Scena z filmu „Sen Nocy Letniej".



Maks Reinhardt i Anita Louise.



Anita Louise jako Tytania i Mickey Rooney, jako Puk w „Śnie Nocy Letniej".



Scena z karłami z filmu „Sen Nocy Letniej".

Niezwykłem wydarzeniem w dziejach kinematografji jest realizacja „Snu nocy letniej" Szekspira przez wytwórnię amerykańską Warner Bros. First National.

Do realizacji tego arcydzieła powołano Maxa Reinhardta, największego reżysera świata, który sztukę tę reżyserował wielokrotnie w teatrach. Nakręcanie tego wielkiego filmu trwało prawie dwa lata i obecnie film ten w nadchodzącym sezonie ukaże się równocześnie na ekranach wszystkich czołowych kin świata.

Obok podajemy parę scen z filmu „Sen nocy letniej". Niezwykle interesująco obsadzono główne role: Puka i Tytanji. Puka gra mały Mickey Rooney, a Tytanję młoda aktorka Anita Louise.

Wszystkie zdjęcia Warner Bros First National

Rebus.

(Ułożył „Wirenel" — Warsz. Klub Szaradz.).

Z podanego rebusu należy odczytać pewną sentencję przysłowiową, złożoną z 10 wyrazów o początkowych literach: D, r, p, p, s, b, t, t, k, r.



Szarada żniwna.

(Ułoż. M. Waksmundzka — Warsz. Klub Szaradz.).

Po zbóż bezbrzeżnych srebrnym oceanie
fala za falą przepływa bez końca...
Szum cichy słychać na ogromnym łanie,
piąte-dwunaste się mienią śród słońca!

Fala za falą gdzieś w bezkres pomyka,
chylą się kłosy **raz-wtóre** ku ziemi,
cieszą się oczy smagłego rolnika
kłosami **trzecich-wspak drugich** pełnemi!

Wraz pierzchną trwogi przedwczesne i puste
w sercach **raz-czwarta** nadzieja się pleni,
raźno też klepią **jedenaste-szóste**
dziewięć-dziesiętni śród sadów zieleni.

— — — — — — — — — — —

Stają szeregi milczące i zwarte
z kosami w rękach, w siermięgach i boso,
lecą **pięć-szóste** bogate w **trzy-czwarte**,
obfite plony za trudy im niosąc.

Gdy **siedem-osiem** swe kosy żniwiarze,
to **siódme-drugie** pieśń dzwonią rozdrganą;
inni zbiór sprzątną, jak zwyczaj im każe —
wnet **jedenaste-dziesiąte** tu staną!

Za rozwiązanie powyższej szarady i rebusu, redakcja „Światowida" przeznacza

TRZY NAGRODY.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna od 1—20. X. 1935.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 1 września 1935 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr-u 31.

Tatry zapraszają na „Święto Gór"!

Trafne rozwiązanie zagadek z N-ru 31 nadesłali:

Leon Bienasz, Lwów; Janka Markowska, Warszawa; L. Ogrodzińska, Kraków; Feliks Brosławski, Baranowicze; Henryk Niewiejski, Łódź; Nina Kostyrkówna, Jarosław; Aleksy Wachowski, Nowemiasto; „Floro de Espero", Włodzimierz; Jadwiga Świerczyńska, Lwów; Alfred Babik, Chorzów; E. Rozenberżanka, Brzeziny; Helena Celewiczowa, Stary Sącz; Ferdynand Rath, Stanisławów; Maksymiljan Tenenhaus, Stanisławów; Lajosz Baumeister, Stanisławów; Zygmunt Wiśniewski, Białystok; Józef König, Toruń; Stanisław Domagalik, Będzin; Roma Schützowa, Biała Wielka; Eustachy Kidyba, Włodzimierz; Gustaw Gleixner, Lwów; Nina Koraban, Warszawa; sierż. Józef Biernat, Bielsko; Antoni Sieramski, Warszawa; Stanisław Kaszubski, Dobre; Jan Badura, Szopienice; „Datura", Wilno; inż. Tadeusz Kubiczek, Chorzów; St. Mikowska, Warszawa; Zygmunt Tietz, Warszawa; A. Kudak, Kakulin; Bolesław Nycz, Szelków Nowy; ppor. Kazimierz Hrynkiewicz, Wilno; Helena Wilkosz, Kraków; Wład. Grabski, Łódź; Marja Ochońska, Żywiec; „Maryśka z Pohulanki", Wilno; Zofja Korzeniewska, Warszawa; Anna Papee, Katowice; L. Rudkowski, Ciężów; Marceli Buttner, Siersza Wodna; Czesław Mączewski, Piotrowice; „Wilnianin", Dubno; ks. Juljan Arhtewicz, Skotniki; Jadwiga — Wacław, Warszawa; Kazimiera Niedziałkowska, Chorzów; Marja Baworowska, Sorocko; Stanisław Jamse, Mielec; Maryśka Malcherkówna, Chorzów; J. N. Maziarz, Ozorków; Stefanja Sobecka, Łysakówek; „Czytelniczka", Krzemieniec; Roman Chromiński, Krzemieniec; Karol Marcinkowski, Kartuzy; **Jola i Hala Kowalczykówne, Łódź (zł. 20.—)**; Zygmunt Łebek, Miechów; Jadwiga Jaglarzówna, Szaflary; Marjan Chylak, Leśnica; Michał Chowaniec, Zakopane; Antoni Jordan, Kraków; Antonina Dominówna, Nowy Targ; Anna Borzęcka, Niewiadom; Stefanja Fritze, Kraków; mgr. Tadeusz Kutrzeba, Mielec; dr. Aleksander Harasowski, Nowy Sącz; Róża Kostrzewska, Biała; Stefan Bielski, Brześć; Zb. Block, Poznań; Irena Leszczyńska, Potok; Wiktor Borowik, Częstochowa; Irma Buzinkowa, Suwałki; Jan Pielaszek, Warszawa; Władysław Lubnauer, Zgierz; inż. Zygmunt Słowikowski, Warszawa; Wł. Bereśniewicz, Dąbie; Bogusław Gawor, Rabka; Konrad Oślizło, Bieruń Stary; Jan Nowak, Dąbrowa Górnicza; Irena Senze, Żychlin; Czesław Łapiński, Olkusz; dr. W. Womperski, Starachowice; Ela Kubalowa, Brzesko; Leszek Sowiński, Kraków; Irena Lewicka, Lwów; Ilana Kowal, Lwów; Stefanja Krupkowa, Toruń; pchor. St. Łazarewicz, Warszawa; Marja Scholtzowa, Kalisz; Bronisława Romułłowa, Jeżów; Hahorkiewicz, Skawina; Anna Loeglerowa, Lwów; Józef Piątek, Szczekociny; **J. Gillowa, Warszawa (zł. 10.—)**; Józef Urban, Targowica; Zofja Lasocka, Warszawa; Józef Stefańczyk, Pabjanice; K. Młyniec, Kraków; Jerzy Bielesz, Kraków; Władysław Zioło, Zielonka; Aleksander Miecznikówski, Opole; Rena Ustaszewska, Warszawa; Józef Galant, Stebnik; Włodzimierz Drużbiak, Lwów; Łucja Pannenkowa, Lwów; W. Nose, Warszawa; Hanka Iwaszkiewiczówna, Myślenice; Józef Gołębiowski, Kraków; Stanisław Malaga, Rzezawa; Wiktorja Błażewiczowa, Kobylnik; Karol Kaczmarczyk, Kraków; J. Siutówna, Kraków; Józef Misiołek, Łężyny; Zofja Zajączkowska, Staszów; Władysław Strączewski, Poznań; Weronika Klasówna, Wilczyce; Jerzy Szczechowicz, Sulejówek; Hala Szczechowiczówna, Sulejówek; Świetlicowy firmy „Boruta", Zgierz; **Iljana Fiołkówna, Katowice (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—30 IX. 1935 r.)**; Janina Dobrowolska, Toruń; Rajmund Follek, Rybnik; Stanisław Świętochowski, Lipno; Marja Flisarska, Kraków; Marjan Jagusiński, Kraków; Janina Zachucianka, Sosnowiec; Józef Bazgier, Pabjanice; Jan Brzustowski, Warszawa; Zofja Maksymowiczowa, Lwów; Janina Krejwisówna, Kobryń; Józef Ruta, Wieluń; Włodzimierz Tylkowski, Chrośno; Z. Ptaszyńska, Oświęcim; Klub Pracowników „Gazoliny", Borysław; Adam Piwowarczyk, Borysław; Mery Piwowarczyk, Borysław; W. Szałupin, Równe Wołyńskie; Kamila Muzykowa, Tarnopol; Marjan Taras, Stryj; Jan Sztylc, Toruń; Zdzisław Pałuszyński, Pabjanice; Stanisław Grabowski, Płock; Czytelnia P. M. S. w Niwce; Stanisława Tarkowska, Warszawa; Zofja Tryhubczakówna, Kraków; Wanda Sobecka, Poznań; Teofil Sobecki, Poznań; Józef Łakociński, Kraków; Stanisław Wojciechowski, Kraków; Edward Filarski, Chełmno; Kazimierz Wojciechowski, Wieluń; Kazimierz Kozłowski, Warszawa; Natalja Sobolewska, Lublin; dr. Stefan Węcewicz, Owińska; Janina Szeremetowa, Lwów; Antoni Bieganowski, Łomża; J. Wnukówna, Sosnowiec; Stanisław Sztanolewski, Skarżysko Kamienne.

Nagrody otrzymali: pp. Jola i Hala Kowalczykówne, Łódź, ul. Nawrot 23 (zł. 20.—), J. Gillowa, Warszawa, ul. Marszałkowska 78—18 (zł. 10.—), oraz Iljana Fiołkówna, Katowice, ul. Prosta 2 (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—30 września 1935 r.).

Nagrody pieniężne redakcja „Światowida" prześle niebawem.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

JEZIORO NECKO KOŁO AUGUSTOWA

